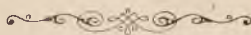
PRZYGODY

GULLIWERA.



II.

KRAINA OLBRZYMÓW.

NOWE WYDANIE DLA DZIECI

Z sześcioma chromolitografowanemi rycinami.

W KRAKOWIE.
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. M. HIMMELBLAUA.
1882.

W DRUKARNI ZWIĄZKOWÉJ W KRAKOWIE,
pod zarządem A. Szyjewskiego.





I.

W pierwszych dniach podróży morskiéj, w którą wybrałem się z Anglii z kapitanem okrętu Janem Niklas do Suraty w Indyach wschodnich, nie spotkało nas nic uwagi godnego. Z pomyślnym ciągle wiatrem płynęliśmy aż do przylądka Dobrej Nadziei, gdzie przybyliśmy dla zaopatrzenia się w wodę; znaczne jednak uszkodzenie okrętu, zatrzymało nas tam przez całą zimę. Dopiero w kwietniu mogliśmy opuścić to miejsce i dotarliśmy też wkrótce do cieśniny Madagaskar; 19-go kwietnia zaś, gdyśmy się znajdowali na północ Madagaskaru, pod 5-tym stopniem południowej szerokości, gwałtowny wiatr zapędził nas na wschód wysp Moluckich. Tu zapanowała nagle taka cisza, że okręt stanął prawie nieruchomy na spokojnem źwierciedle wody. Cieszyłem się tem zrazu niezmiernie, ale kapitan doświadczony w żegludze na tych morzach, przepowiedział z tej ciszy straszną burzę i zarządził nawet przygotowania na wypadek niebezpieczeństwa. Sprawdziły się też nazajutrz jego obawy; wiatr stawał się coraz groźniejszy, umocowaliśmy więc działa, spuściliśmy żagle, a zabezpieczywszy się w ten sposób i nie opierając się prądowi wiatru, zdaliśmy się na jego łaskę, płynąc tam gdzie on nas pędził. Straszna to była burza, bałwany z przerażającym łoskotem rozbijały się o nasz okręt, jakby przewrócić go usiłując, to znowu porywały go na siebie, w górę unosząc. Dłużej niż przez czternaście dni igrała tak z nami burza, po której silny wiatr zachodnio-południowy zagnał nas ku wschodowi, a według moich obliczeń oddalił nas może na trzysta godzin drogi od obranego początkowo kierunku. Doświadczony nasz kapitan i najstarsi majtkowie nie mogli pomiarkować, w której stronie świata jesteśmy.

Żywności nam nie brakowało, okręt był nie nadwerężony, ludzie zdrowi, jedynie brak wody do picia dokuczał nam bardzo; nie zmieniając więc kierunku, dążyliśmy naprzód w nadziei dostania się na jakieś wybrzeże, gdzie znajdziemy wodę do picia.

Nadzieje nie omyliły nas. Było to 16-go czerwca, chłopiec okrętowy w masztowym koszu będący zawołał na nas: „ląd! ląd!“ nazajutrz też zarzuciliśmy kotwicę na rozległem wybrzeżu; nie wiedzieliśmy jednak, czyśmy przybili do stałego lądu czy do wyspy. Kapitan wysłał dwunastu ludzi uzbrojonych i opatrzonych stosownemi naczyniami celem wyszukania wody do picia. Uszczęśliwiony, że po tak strasznej podróży stanę przecież na lądzie, zwidzę kraj a może i jakieś ważne odkrycia zrobię, prosiłem kapitana, aby mi pozwolił udać się tam z majtkami, a otrzymawszy pozwolenie, popłynąłem wraz z nimi wesoło, myśląc że zobaczę coś nowego w tym nieznanym kraju.

Przybywszy na ląd, znaleźliśmy okolicę skalistą, pustą, wśród której nie było śladu człowieka ani zwierza. Nie znaleźliśmy też ani źródła ani rzeki, tak, że nasi ludzie trzymali się wybrzeża, aby przynajmniej znaleść słodką wodę, ja tymczasem oddaliłem się o pół godziny drogi w głąb kraju, aby się mu bliżej przypatrzyć. Nie znalazłszy w tej wycieczce nic uwagi godnego, zwróciłem się ku wybrzeżu. Nikt nie jest w stanie opisać tego ogromnego przestrachu, jaki mię ogarnął, gdym już nie zastał tam łodzi i zdaleka tylko spostrzegłem jak moi towarzysze odpływali, zdążając spiesznie do statku, jakby uciekali przed strasznem niebezpieczeństwem. Wołałem z całego gardła, aby mię zabrali z sobą, ale mię nie dosłyszeli, będąc już daleko odemnie. Spostrzegłem nareszcie, że majtkowie uciekali przed jakiemś strasznem, jak wieża wysokiem stworzeniem, które ich ścigało. Morze sięgało temu olbrzymowi zaledwo do kolan, lecz majtkowie odpłynęli go może o pół godziny drogi, bo ostre kamienie i koralowe skały, pomimo jego prawdziwie sążnistych kroków, utrudniały mu drogę, o czem dowiedziałem się dopiero później, gdyż na widok tego straszydła, przed którem majtkowie uciekali, i ja z całych sił uciekać zacząłem, aby się przed niem ukryć. Dostałem się na spadzisty pagórek, zkąd był widok na znaczną część kraju; nie była to pustynia, ale kraj dobrze uprawiony, a naj-

bardziej zdziwiła mię ogromna trawa na pagórku, najmniej około 20 stóp wysokości.

Pocieszyłem się cokolwiek tą myślą, że na każdy wypadek będę się mógł bezpiecznie ukryć w tej wysokiej trawie i szedłem dalej ostrożnie. Wkrótce dostałem się na wygodną, szeroką drogę, sądząc, że to jest publiczny krajowy gościniec — później atoli dowiedziałem się, że to była zwykła ścieżka przez pole prowadząca. Idąc tą drogą nie mogłem nic widzieć na żadną stronę, bo zboże już było dojrzałe, przewyższało mię niezmiernie, dochodząc do 40 stóp wysokości. W godzinę stanąłem wreszcie na końcu tego pola ogrodzonego płotem na 120 stóp wysokim, z którego prawie niebotyczne wystawały drzewa. Z tego pola na drugie prowadziły kamienne schody o czterech stopniach tak wysokich, że nie mogłem odważyć się, aby zejść po nich; szukałem więc otworu w płocie, aby się przemknąć, gdym spostrzegł zbliżającego się krajowca takiego olbrzymiego wzrostu, jak ów, którego widziałem goniącego za statkiem. Dreszcz mię przeszedł i niewypowiedziany strach ogarnął na myśl, że ten wielkolud dostrzeże mię i ścigać mię będzie. Niepodobieństwem było myśleć o ucieczce, bo sądząc z długości nóg jego, można było pewnym być, że jeden krok jego najmniej 10 łokci wynosi; nie pozostało więc nic innego, jak ukryć się w zbożu. Ztamtąd widziałem go stojącego na schodach i oglądającego się, jakby kogoś szukał. Nareszcie usłyszałem straszliwy głos jego, który mi się grzmotem wydawał, wołał on zapewne na swoich towarzyszów, bo wkrótce nadeszło sześciu podobnych do niego wielkoludów, równie jak on z sierpami w ręku, które były pięć albo sześć razy większe od naszych kós. Ci byli gorzej ubrani niż tamten, domyślałem się więc, że to byli jego słudzy. I tak było rzeczywiście, bo na rozkaz jego wzięli się zaraz do pracy i zaczęli żąć zboże, w którem się ukryłem. Nie było więc innej już w tem niebezpieczeństwie rady, jak uciekać najspieszniej, ale i to było trudno, bo źdźbła były często nie więcej jak na stopę od siebie oddalone, nie mogłem się więc przecisnąć przez ten las straszny. Pomimo tego wszystkich sił używałem, aby uniknąć niebezpieczeństwa, alež zaledwo zrobiłem kilkanaście kroków, stanąłem w miejscu gdzie deszcz i wiatr tak powa-

liły zboże, że ani kroku dalej postąpić nie mogłem, a ości opadłych kłosów tak były ostre i silne, że mię kaleczyły i odzież mi darły.

Wycieńczony więc na siłach, rzuciłem się z rozpaczy w brózdę, nie wątpiąc, że tu już życie skończę, słyszałem bowiem żniwiarzy zaledwo może o sto kroków odemnie. Ubolewałem nad losem wdowy i sierót nieszczęśliwych, żałowałem bardzo, że, mimo rady przyjaciół i ostrzeżenia krewnych, puściłem się w tę nieszczęsną podróż. Mimowoli przyszły mi na myśl Liliputy, którzy mię uważali za cudowny twór natury, gdziem potrafił całą flotę jedną prowadzić ręką i spełnić inne wielkie czyny, w historyi tego narodu na wieczną zapisane pamiątkę, którym tamtejsza potomność pomimo świadectwa całego narodu, nie będzie chciała może wierzyć. Tu niestety! uważany będę za najnędzniejsze stworzenie, tak jak my uważalibyśmy Liliputa. Słusznie utrzymują nasi filozofowie, że wielkość i małość są to względne pojęcia, wypływające tylko z porównania. Może też jest kraj taki, gdzie ludzie są tak mali, że Liliputy wydawałyby się im wielkoludami; a i to przecież nie jest niemożebnem, że te wielkoludy Liliputami byłyby w porównaniu z jakimś innym narodem, któregośmy jeszcze dotąd nie odkryli.

W tem rozmyślaniu o cudach natury o mało już nie zginąłem, bo jeden ze żniwiarzy był już tylko może o 10 łokci odemnie; jeszcze krok jeden, a byłbym albo zadeptany albo sierpem na wskróś przerżnięty. Widząc że podnosi nogę, zacząłem z całego gardła krzyczeć; na co olbrzym zatrzymał się, wodził w około wzrokiem, patrzał długo na ziemię, aż nareszcie mię spostrzegł. Chcąc mię podnieść, przypatrywał się długo ostrożnie, jak człowiek co chce podnieść jakieś niebezpieczne zwierzątko, z obawą, aby nie dać się podrapać albo ugryść. Chciałem się jeszcze ukryć, ale zaledwo zrobiłem kilka rozpaczliwych kroków, znalazłem się już w jego ręku, chwycił mię bowiem we dwa palce w pół, i tak mię trzymał przed oczyma, kręcąc głową z podziwienia i ciekawie oglądając. Bojąc się, iżby mi nie połamał żeber ściskając palcami, złożyłem ręce jak do modlitwy i wzniósłszy oczy w górę, błagałem aby mię nie rzucił na ziemię, jak się to robi z nieprzyjemnym owadem; spadłszy bowiem z wysokości przynajmniej

6o stóp, byłbym się strasznie potłukł. Ale zapewne podobała się wielkoludowi moja powierzchowność i głos mój, bo przypatrywał się mi tem ciekawiéj i zdawał się dziwić mowie mojej, chociaż dlań nie zrozumiałéj. Starałem się, aby mu dać poznać, że ściskając mię palcami sprawia mi ból ogromny i musiał mię zrozumieć, bo bardzo delikatnie schował mię w kieszeń a potem udał się do swojego pana, otyłego dzierżawcy, którego przed chwilą widziałem na polu.

Słyszałem, jak żniwiarz rozpowiadał mu o mnie, a wyjąwszy z kieszeni pokazywał mię na dłoni swojemu panu, który wziąwszy kawałek ździebła słomy, wielkości laski, podnosił niem poły mego surduta, jakby chciał widzieć, czy to kawałek mej skóry czy odzienie; potem zdmuchnął mi na bok włosy, aby się twarzy mej mógł dobrze przypatrzyć, — dmuchnięcie to było tak silne, jakby gwałtowny wicher; wreszcie obejrzawszy mię z przodu i z tyłu, przypatrzywszy się moim rękom i nogom, dziwiąc mi się bardzo, zwołał resztę swoich ludzi, pokazywał mię równie zdziwionym, którzy — jak się mogłem domyśleć — mówili, że jeszcze w życiu swojem nie widzieli takiego małego człowieczka. Potem położył mię ostrożnie na ziemi tak, jak czworonożne zwierzę, a ja natychmiast wstawszy przechodziłem się przed nim chcąc pokazać, że nie myślę przed nim uciekać. Wszyscy usiedli około mnie przypatrując się z największą uwagą moim ruchom. Zdjąwszy kapelusz pokłoniłem się nisko panu dzierżawcy, a wyjąwszy moją sakiewkę z kieszeni, podałem mu ją. Przyjął on ją odemnie, położył na dłoń i obracał na wszystkie strony śpilką, którą wyjął ze swéj chustki na szyję, nie wiedział jednak co to jest. Dałem mu znak, aby rękę na ziemi położył, a skoro to uczynił, wysypałem mu z sakiewki wszystko na dłoń, dwadzieścia kilka sztuk złotéj i srebrnéj monety. Widziałem, jak zwilżywszy językiem koniec swego palca, wziął nań jednę z największych monet złotych hiszpańskich, przypatrywał się jéj nie wiedząc co ma z tą okruszyną począć, nareszcie dał mi znak, abym zabrawszy sakiewkę i pieniądze, schował je do kieszeni, co też chętnie uczyniłem. Przekonawszy się zapewne, że jestem rozumnem stworzeniem, z którem można się rozmówić, odzywał się do mnie swym grzmiącym głosem, zadając, jak mi się zdawało, różne pytania, na które atoli nadaremnie chciałem

odpowiedzieć, lubo kilkoma rozmawiałem językami. Odesławszy swoich ludzi do roboty, wyjął z kieszeni chustkę do nosa, rozesłał ją na dłoni, którą położył na ziemi, dając mi znak abym wstąpił na nią, co mogłem bez trudności zrobić, bo ręka jego nie była grubszą nad dwie stopy. Gdy umieściłem się tam wygodnie, zawiązał chustkę i tak zaniósł mię do domu, gdzie strasznie śmiejąc się, rozwiązawszy chustkę pokazał mię swej żonie, która spostrzegłszy mię, krzyknęła przeraźliwie i odskoczyła, jak zwykle u nas kobiety na widok myszy lub żaby. Skoro jednak widziała moje spokojne zachowanie się, i z jaką ścisłością wykonywam dawane mi znakami rozkazy jéj męża, straciła do mnie odrazę i zrobiła się nawet dla mnie łaskawą.

Około południa przyniosła służąca obiad składający się z olbrzymiéj sztuki mięsa, na misce mającéj przynajmniej 20 stóp średnicy. Gdy dzierżawca, żona jego z trojgiem dzieci i starą babką zasiedli do stołu około 30 stóp wysokiego, podniósł mię on i posadził na stole, gdzie trzymać się musiałem z daleka od brzegu aby nie spaść, gdyż mógłbym był w takim razie albo na śmierć zabić się, albo przynajmniéj wszystkie kości zgruchotać. Następnie żona dzierżawcy pokrajała kawałek mięsa, nadrobiła chleba i podała mi to na małym drewnianym talerzyku służącym zapewne do zabawy małym ich dzieciom. Podziękowawszy jéj za to pięknym ukłonem, dobyłem mego pudełka podróżnego z nożem i widelcem i zacząłem jeść, co wszystkim niezmierną sprawiło pociechę. Pani pamiętała też i o napitku dla mnie i napełniła mi mały kieliszeczek od likieru obejmujący około czterech naszych garncy. Objąłem kieliszek oburącz, i z wielkiem wysileniem podniosłem go do ust i napiłem się na zdrowie dobrej pani, przemówiwszy przy tem kilka słów, co wywołało takie straszne śmiechy, że o mało nie ogłuchłem. Napój miał smak jabłecznika, był dosyć przyjemny i orzeźwiający. Mój pan — tak już ciągle będę nazywał dzierżawcę — dał mi znak, abym przyszedł do jego talerza; posłuszny rozkazowi maszeruję wprost, ale w drodze potknąłem się na okruszynie chleba i upadłem jak długi. Nie uszkodziwszy się jednak wcale, wstałem zaraz i spostrzegłem, że ci dobrzy ludzie przelękli się o mnie; podniósłszy więc kapelusz pokazałem im ruchami, że nie poniosłem żadnéj szkody.

W dalszym ciągu drogi do talerza mojego pana spotkało mię jeszcze groźniejsze niebezpieczeństwo, bo najmłodszy jego synek, dziesięcioletni, rozpuszczony strasznie chłopiec porwał mię za nogi i podniósł tak wysoko, że cały drżałem ze strachu. Ojciec wyrwał mię jednak zaraz z jego paluszków, i uderzył go w twarz z takim zamachem, któryby zmiótł cały szwadron naszych dragonów. Oprócz tego kazał niegrzecznemu chłopcu natychmiast odejść od stołu. Rozkaz jego wprawił jednak i mnie samego w kłopot, bo wiedziałem, że chłopcy lubią się mścić i pastwić, czasem nawet bez przyczyny bywają okrutnymi względem małych stworzeń, jak wróble, młode kocięta, króliki i t. p. Upadłem więc przed moim panem na kolana, błagając go znakami za chłopcem, któremu też przebaczył i pozwolił wrócić do stołu. Tym sposobem zjednałem sobie przychylność małego psotnika; a żeby się pod tym względem lepiéj jeszcze zapewnić, podszedłem ku niemu i pocałowałem go w rękę.

W ciągu obiadu naraz usłyszałem takie straszne warczenie jakby ze dwanaście warsztatów przędzalnych w ruchu; spostrzegłem jednak, że to kot tak mruczał, który siedział na podołku swéj pani, która go karmiła i z nim się bawiła. Zwierzę to, wielkie jak rinoceros albo koń morski, przestraszało mnie swemi ogromnemi oczami; lubo stałem na drugim końcu stołu 5o stóp szerokiego, obawiałem się aby się na mnie nie rzuciło. Uspokoiłem sie jednak widząc, że pani spostrzegłszy moją obawę, trzymała kota silnie; podszedłem więc bliżej ku niemu, patrząc mu śmiało w oczy, bo wiedziałem o tem dawno, że dzikie zwierzęta tracą swą śmiałość na widok groźnego i śmiałego spojrzenia, gdy przeciwnie, rzucają się na bojaźliwych; widząc mię też przystępującego doń, usunął mi się z drogi; pomimo tego niedowierzałem mu nigdy. Nie tyle obawiałem się psów, których parę weszło do pokoju, jeden dog wielkości mamuta albo przedtopowego słonia; drugi hart, większy od tamtego ale cieńszy.

W końcu obiadu weszła mamka z małem jednorocznem dziecięciem, które spostrzegłszy mię i myśląc zapewne że jestem lalką dla niego do zabawy, tak krzyczało, że można było ten krzyk słyszeć o pół mili. Matka chcąc uspokoić krzyczącego synalka, podała mię mu do

rąk, któremi on chwyciwszy mię, jak zwykłe małe dzieci robią, wpakował mię w swoje usta, ale skoro przestraszony zacząłem mu w ustach krzyczeć, upuścił mię zaraz i byłbym się strasznie potłukł, gdyby mnie przytomna mamka nie była w fartuch pochwyciła; poczem uspokoiła malca grzechotką która była tak wielka, jak beczka napełniona ogromnemi kamieniami, a która także strasznego narobiła hałasu. Po obiedzie pan mój poszedł znowu do swoich robotników i o ile z jego ruchów domyśleć się mogłem, polecił żonie swej, aby się mną opiekowała. Skoro pani moja spostrzegła, że jestem śpiący, położyła mię na swojem łóżku i okryła batystową husteczką, która jednak grubszą była od żaglowego płótna do okrętów wojennych w Anglii używanego. Przespałem się parę godzin, ale sen miałem niespokojny; śniło mi się o mojéj ojczyźnie, o żonie, dzieciach; w tem zbudziwszy się nagle, zacząłem rozmyślać, że oddalony od nich znajduję się między obcymi wielkoludami, a smutek mój zwiększał się jeszcze na widok ogromnych otaczających mię przedmiotów, nadzwyczaj obszernej izby, dwieście stóp szerokiej a trzysta stóp długiej; łóżko na którem spałem miało dziewięć stóp szerokości a dwadzieścia cztery stóp wysokości. Moja pani zostawiwszy mię w wygodnem łóżku, odeszła do swoich zatrudnień domowych i zamknęła mię na klucz, sądząc, że tam jestem zupełnie bezpiecznym. Omyliła się jednak, gdyż zaledwie pół godziny leżałem tam spokojnie, gdy napadnięty zostałem przez dwa ogromne szczury, wielkości buldoków, które wydrapawszy się na łóżko, rzuciły się na mnie. Szczęściem miałem przy sobie szpadę, któréj dobywszy w obronie mego życia, zabiłem jednego na śmierć, przebiwszy mu brzuch, a drugiego raniłem tak, że uciekając zabroczył krwią podłogę.

Wkrótce po téj zwycięzkiej walce nadeszła moja pani, która się ogromnie przelękła, ujrzawszy mię krwią zbryzganego; uspokoiłem ją jednak pokazawszy że jestem zupełnie zdrów, a przechodząc się z dumą po łóżku, wskazałem na dwa zabite szczury. Moja odwaga ucieszyła ją bardzo, wzięła mię też z łóżka i upieściła, a wchodzącéj właśnie służącéj kazała wyrzucić szczypcami szczury za okno.

II.

Moja pani miała dziewięcioletnią, bardzo uzdolnioną córeczkę, która na swój wiek była jeszcze dosyć małą, bo wzrost jéj dosięgał zaledwie 40 stóp. Była jednak ta dziewczynka wprawną już w szyciu i umiała ładnie ubierać swą lalkę. Za poradą matki dała mi ona kolebkę swéj lalki, wysławszy ją starannie, gdyż mię bardzo polubiła. Dbała też bardzo o wszystkie moje wygody; rozbierała mię i ubierała jak swoją lalkę i szyła mi koszule i inną bieliznę z najcieńszego płótna, które przecież grubsze było bez porównania od mojéj bardzo grubéj chustki do nosa. Zarazem uczyła mię ona języka krajowego i jéj to właśnie winien byłem wdzięczność, że obok mojéj zdolności do języków mogłem w krótkim czasie nauczyć się najpotrzebniejszych wyrażeń w tamtejszéj mowie. Ta miła dziewczynka dała mi imie Grildrik, którem nazywała mię odtąd cała ta rodzina i cały kraj. Nazwisko to oznacza tyle, co łaciński homunculus, włoskie uomicciulo, człowieczek; ja nazwałem moją opiekunkę Glumdalklicz, co w naszéj mowie znaczy „macierzyńska przyjaciółka“. Byłbym bardzo niewdzięcznym, gdybym mógł nie cenić tak troskliwéj i miłości pełnéj opieki, jaką mię otoczyła Glumdalklicz; nigdyśmy się też nierozłączali przez cały czas pobytu mego w Brobdingnag, tak się bowiem nazywał ów kraj wielkoludów; i jéj to macierzyńskiéj opiece zawdzięczam utrzymanie mego życia, które z powodu mojéj maleńkości, narażone tam było na różne groźne niebezpieczeństwa.

Tymczasem rozgłosiło się, że pan mój znalazł na polu małe stworzenie, wielkości splaknuka (jednego z najmniejszych czworonożnych zwierzątek tego kraju), mające zupełny kształt i budowę człowieka, mówiące własną mową, a przytem bardzo rozumne i miłe. Wiadomość ta doszła niebawem do sąsiedniego dzierżawcy, który zdjęty ciekawością przybył zaraz, aby mię na własne oczy widzieć. Mój pan postawił mię na stole, po którym na rozkaz jego maszerowałem, dobywając szpady i zaraz ją do pochwy wkładając, witałem go uprzejmie słowami których mię nauczyła Glumdalklicz. Zdziwiony starzec nasadził na nos okulary, aby mi się lepiej przypatrzyć. Oczy jego z po za

okularów wydawały mi się jak dwa księżyce w pełni przez dwa okna widziane, co sprawiało mi tak komiczny widok, że nie mogłem się powstrzymać od głośnego śmiechu, któremu wtórował straszny śmiech obecnych tam osób, co rozgniewało starca tak, że groźnym na mnie spoglądał wzrokiem i mszcząc się niejako, doradził mojemu panu, aby mię jako osobliwość pokazywał na jarmarku w pobliskiem mieście. Złośliwą tę radę przyjął mój pan, i jak się nazajutrz dowiedziałem od Glumdalklicz, przeznaczony zostałem do budy jarmarcznéj. Poczciwa ta dziewczyna, która obawiała się nie tylko o to, aby mi się nie zdarzyło jakie nieszczęście w tłoku jarmarcznym, ale czuła zarazem, że to jesť obrazą mojéj skromności i honoru, przytuliła mię do piersi płacząc rzewnie nad moim losem. Żaliła się ona, że chociaż rodzice jéj przyrzekli dać mię jéj na własność, widzi przecież, że tak będzie ze mną, jak w zeszłym roku z jagniątkiem, które jéj darowali, a gdy się wypasło, rzeźnikowi je sprzedali. Jakże łatwo — mówiła ona — ta jarmarczna tłuszcza może połamać swemi paluchami moje delikatne żeberka i pozbawić ją najmilszéj zabawki. Co do mnie nie obawiałem się tyle o moje żebra, ile mi szło o wstyd, że jak dziwoląg będę wystawiony na publiczny widok; pocieszałam się przecież, że to nieszczęście nie z własnéj spotyka mię winy.

Pan mój istotnie usłuchał rady swego przyjaciela i zapakowawszy mię w pudło zawiózł na jarmark do najbliższego miasta. Na moją pociechę pojechała i Glumdalklicz, którą ojciec wziął na siodło po za sobą. Pudło było ze wszystkich stron zamknięte, tylko małe drzwiczki były do wyjścia i kilka dziur dla powietrza. Dobra moja piastunka była tak o mnie troskliwą, że mi położyła do pudła materac, aby mi było wygodniéj, pomimo tego potłukłem się strasznie w podróży, chociaż tylko pół godziny trwającéj; bo każdy krok olbrzymiego konia wynosił około 40 stóp a w kłusie odsadzał się od ziemi na wysokość zwykłego domu naszego.

Gdyśmy przybyli do miasta, pan mój w dobrym humorze, ja zaś strasznie umęczony, wstąpił on do znanéj sobie gospody i naradził się z gospodarzem co do moich przedstawień. Idąc za radą biegłego w tych rzeczach człowieka najął zaraz gultruda, to jest obwoływacza,

który w całem mieście ogłosił, że do gospody pod zielonym orłem przybyło i jest tam do widzenia bardzo rzadkie stworzenie wielkości splaknuka, mające zupełny kształt człowieka, umiejące wymawiać kilka wyrazów brobdingnangskich i pokazuje różne pocieszne sztuki.

Ogłoszenie to sprawiło dobry skutek; zgromadziła się licznie publiczność, przed którą postawiono mię na stole w największym pokoju gospody. Glumdalklicz stanęła na małym stołeczku tuż przy stole, aby na mnie uważać i rozkazywać mi, co mam robić. Pan mój przy pomocy policyi nie pozwalał wpuszczać na przedstawienie więcéj nad trzydzieści osób, abym wskutek zbytecznego ścisku nie był narażony na szkodę lub niebezpieczeństwo. Gdy się zebrała dostateczna liczba widzów i salę zamknięto, dobyła mię moja piastunka ze skrzynki, rozkazując mi przechadzać się po stole i zadając mi różne pytania, na które mogłem już w mowie krajowéj odpowiadać, czem wprawiałem w zadziwienie i rozweselałem otaczających mię widzów, którzy o mało mię nie ogłuszyli hucznemi oklaskami i straszliwym swym śmiechem. Glumdalklicz podała mi także ździebło słomy, którem mustrowałem się jakby piką. Oprócz tego musiałem wyprawiać tysiące innych sztuk, któremi po dwunastu takich przedstawieniach, zmęczyłem się do tego stopnia, że już prawie ruszać się nie mogłem. Ci, którzy mię już widzieli, opowiadali innym, co za drzwiami na przedstawienie czekali i zapewniali ich, że postać moja i moje sztuki przewyższają o wiele to wszystko, co obwoływacz o mnie rozgłaszał, a osobliwie rozpowiadali o niezmiernéj małości mojego wzrostu w porównaniu ze swoim; a to wszystko w taką ciekawość wprawiało, że niecierpliwi goście chcieli drzwi wysadzić, aby mię czemprędzéj ujrzeć.

Ze względu na własny swój interes, pan mój nie pozwalał, aby mię ktokolwiek dotykał, oprócz mojéj piastunki, dla tego też stół tak był obwarowany ławkami, że mię nikt z widzów nie mógł dosięgnąć; przecież jakiś student rzucił mi orzech laskowy na głowę, którym byłby mię niezawodnie zabił, gdybym był zręcznie nie uniknął pocisku, orzech bowiem był wielki jak bania i z taką rzucony był siłą, że byłby mi niezawodnie czaszkę zgruchotał. Miałem jednakże to zadowolenie, że

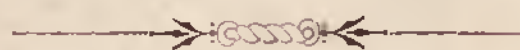
widzowie rozgniewani o to, wyszturchali psotnika porządnie, i za drzwi wypchnęli.

Pan mój zebrawszy z tych przedstawień znaczną sumę pieniędzy, zapowiedział, że na przyszły jarmark znowu mię pokazywać będzie. Tymczasem postarał się o wygodniejsze dla mnie pudełko, bo pierwsza podróż i wysilenia ku zabawie licznych widzów tak mię osłabiły, że, ani mówić ani na nogach trzymać się już nie mogłem. Wróciwszy do domu i przyszedłszy cokolwiek do sił, nie miałem przecież spokoju, bo znaczniejsi mieszkańcy do których o trzysta mil sława moja doszła, przyjeżdżali i przychodzili z żonami i dziećmi. aby w domu dzierżawcy ujrzeć to dziwne stworzenie, które zrobiło tyle wrażenia na jarmarku. Nie przeszedł żaden dzień — oprócz środy, którą w Brobdingnag jako święto obchodzono — abym mógł spokojnie odetchnąć, a pan mój, który kazał sobie dobrze płacić za przedstawienia, zbierał prawdziwe skarby. Im więcéj człowiek ma, tém więcéj pożąda, jak to nie tylko w Brobdingnag ale na całym świecie bywa; tą żądzą powodowany postanowił mój pan pokazywać mię we wszystkich znaczniejszych miastach królestwa. Przygotował się więc do podróży, urządził swoje domowe sprawy, a pożegnawszy się z żoną i dzieckiem wyruszył 17-go sierpnia 1703 r. w drogę do stolicy w środku kraju położonej a od jego wsi o trzy tysiące mil odległej. Wziął też ze sobą na konia i córeczkę swoją, która mię bardzo troskliwie trzymała w pudełku bardzo starannie wysłanem pościelą i poduszkami swéj lalki, tak, że ta podróż istotnie nie była dla mnie tak uciążliwą jak pierwsza. Mieliśmy też ze sobą i chłopca, który za nami z pakunkiem jechał.

Moja poczciwa opiekunka czyniła co tylko mogła, aby mi tę podróż uprzyjemnić. Karmiła mię najlepszemi przysmaczkami i często pieściła się ze mną, dobywając mię ze skrzynki, aby mi pokazać piękne okolice, któreśmy przejeżdżali, a które podziwiałem nie mogąc im się napatrzyć, pojąc się świeżem powietrzem. Przebywaliśmy rzeki o wiele szersze od szerokiego Nilu i Gangesu, strumyki takie jak Tamiza pod londyńskim mostem. W podróży téj, która trwała dziewięć tygodni, nie zaniedbał mój pan pokazywać mię nie tylko we wszystkich miastach, ale i we wszystkich wsiach i dworach, któreśmy po drodze spo-

tykali, przez co kasa jego tak wzrosła, że ją konie zaledwo już dźwigać mogły.

Wreszcie dnia 26 października przybyliśmy do stołecznego miasta Lorbgrulgrud, to jest ozdobą wszech świata zwanego. Stanęliśmy w pierwszorzędnym hotelu, przy głównéj ulicy, w pobliżu królewskiego pałacu. Pan mój wynajął od właściciela hotelu salę mającą 300 do 400 stóp szerokości i odpowiednio długą, a zarazem kazał rozlepić po rogach ulic i rozdać pomiędzy publiczność ogłoszenia, które donosiły o naszém przybyciu i wyliczały moje przymioty; kazał zrobić stół mający 60 stóp średnicy, na którym miałem się przedstawiać, i opatrzył go poręczą na trzy stopy wysoką w stósownéj odległości od krawędzi, abym nie spadł. Rozpoczęły się więc przedstawienia powtarzające się dziesięć razy na dzień wobec gromadzącéj się licznie ciekawéj i zawsze zadowolonéj publiczności. Pan mój zmuszony był znacznie podwyższyć ceny, aby powstrzymać nadzwyczajny ścisk, który przecież wzrastał tem bardziéj, gdy się rozgłosiło, że rozumiem dobrze język brobdingnangski i na wszystkie pytania daję stósowne odpowiedzi. Wprawiłem się bowiem w tym języku w towarzystwie z poczciwą Glumdalklicz, tak w wolnych godzinach w domu jak i podczas długiéj podróży. Zabrała ona z sobą małą książeczkę wielkości naszego atlasu, w któréj były nauki mądrości i cnoty dla młodych dziewcząt, a na której uczyła mię poznawać litery i w czytanie łatwiejszych zdań wprawiała.



III.

Ciągłe trudy i niewygody nadwyrężyły bardzo moje zdrowie; im więcéj pan mój zarabiał na mnie, tem bardziéj wzrastała jego chciwość zysku z moich przedstawień, które mię tak zmęczyły, że strasznie wychudłem i jak szkielet wyglądałem. Przewidując, że nie długo pożyję, chciał on jeszcze korzystać z ostatnich sił moich. Tymczasem przyszedł do niego sardral czyli szambelan dworu z rozkazem aby mię natychmiast przyniósł do pałacu królewskiego, dla zabawienia kró-

lowéj i dam dworskich. Niektóre damy widziały mię już poprzednio i dziwne rzeczy opowiadały królowéj o mojéj maleńkiéj postaci, co wprawiło królową w ogromną ciekawość. Stanąłem więc w królewskim pałacu. Królowa i cały jéj dwór byli ze mnie niezmiernie zadowoleni, padłem na kolana chcąc pocałować królową w nogę lecz łaskawa monarchini podała mi mały swój palec stojącemu na stole; objąłem go więc obydwoma rękami i z największą pokorą pocałowałem koniec jego. Królowa zadała mi kilka pytań o mojéj ojczyźnie i podróżach, które odbywałem — odpowiadałem jéj na wszystko o ile możności krótko i wyraźnie. Pytała mię, czybym nie miał ochoty zostać na zawsze przy jéj dworze, — na co z głębokim ukłonem odpowiedziałem, że jestem niewolnikiem mojego pana, gdyby to jednak zależało od mojéj woli byłbym szczęśliwym, ofiarując Jéj królewskiéj Mości moje usługi. Podobało się to widać królowéj, bo natychmiast zapytała mojego pana, czyby nie miał ochoty odstąpić mię za dobrą zapłatę, na co on chętnie się zgodził, przypuszczając, jak wyżéj powiedziałem, że niedługo pożyję, i dlatego tylko tysiąc sztuk złota za mnie zażądał, które mu też natychmiast wypłacono. Jedna taka sztuka złota była tak wielką i tak ciężką, jak kilkaset razem stopionych dukatów holenderskich. Wtedy zbliżyłem się zaraz do królowéj z największém uszanowaniem zapytując, czybym nie mógł teraz, gdy już niewolnikiem jéj jestem, uprosić, aby zezwolić raczyła, iżby moja opiekunka i nauczycielka Glumdalklicz ze mną mogła pozostać, która mię ciągle troskliwą otaczała opieką. Jej królewska Mość najłaskawiéj przyjęła moją prośbę i z łatwością wyjednała pozwolenie ojca, którego to bardzo cieszyło, że córka jego umieszczoną będzie przy dworze królowéj; radość zaś poczciwéj Glumdalklicz była nieograniczoną. Po tem wszystkiem pan mój oddalił się a żegnając się ze mną, życzył mi szczęścia w nowéj méj służbie, o którą — jak się wyraził — sam wystarał się dla mnie; lecz ja odpowiedziałem mu na to bardzo zimnym ukłonem.

Zadziwiła królową ta moja obojętność, i skoro tylko dzierżawca odszedł, zapytała mię o przyczynę. Odpowiedziałem jéj, że mój dawny pan zobowiązał mię tem jedynie, że niewinnemu stworzeniu w polu znalezionemu głowy nie uciął, a to dobrodziejstwo sowicie już wy-

nagrodził sobie wielkim zyskiem z pokazywania mię po całym kraju za pieniądze i sumą, którą od Jéj królewskiéj Mości otrzymał; życie moje przez cały czas u niego przebyte, było tak nędzne i uciążliwe, zdrowie moje ciągłemi trudami i natężeniami ku zabawom pospólstwa tak dalece nadwyrężone zostało, że jedynie z obawy abym u niego wkrótce nie umarł, za tak umiarkowaną cenę mię sprzedał. Teraz jednak, zostając pod wysoką opieką tak wielkiéj i łaskawéj monarchini, będącéj ozdobą natury, gwiazdą świata, rozkoszą poddanych, mam niepłonną nadzieję, że obawa mojego dawnego pana o moje życie bezzasadną się okaże i że już sam widok tak miłościwéj królowéj napawa mię otuchą i pokrzepi moje siły.

Taka była treść mojego przemówienia do królowy, którego — pomimo, że wiele popełniłem błędów i nie bardzo płynnie się wyrażałem — wysłuchała pobłażliwie i bardzo była zdziwioną tak wielkim dowcipem i rozsądkiem w tak małem stworzeniu; tem bardziéj więc rada była przedstawić mię królowi; zaraz też wziąwszy mię na swą piękną rękę zaniosła mię do króla, który był w swoim gabinecie.

Był to monarcha bardzo poważnéj a zarazem łagodnéj powierzchowności a mając wzrok krótki, nie dostrzegłszy mię na pierwszy rzut oka, zapytał ozięble królową, zkąd się tak bardzo zajmuje prostym splaknukiem, za którego mię uważał. Gdy jednak królowa, bliżéj mię przed oczy króla przedstawiła, gdy postawiwszy mię na stoliku kazała mi opowiedzieć moje przygody, co też krótko i o ile możności jasno opowiadałem, król nie mógł utaić swojego wielkiego zdziwienia i rozpoznawszy przez okulary moją zupełnie ludzką postać, rozkazał wejść mojéj za drzwiami niecierpliwie oczekującéj opiekunce, która na jego zapytania potwierdziła wszystkie moje opowiadania. Ponieważ król był prawdziwie uczonym, nie poprzestał więc na danych mu objaśnieniach, a całą historyą o mojem przybyciu do jego krolestwa uważał za wymyśloną przez Glumdalklicz i jéj ojca w tym celu, aby za mnie tem wyższą cenę uzyskać, i że w istocie nie pochodzę z jakiegoś obcego kraju karłów, ale że jestem prostym dziwolągiem. Aby poznać prawdziwą istotę rzeczy, zadał mi kilka zręcznych pytań, na wszystko jednak odpowiedziałem trafnie i rozumnie, tak, że go to

ogromnie zadziwiło; wprawdzie mój sposób wyrażania się był nie bardzo wyszukany i nie bardzo do dworskiego tonu stosowny, były to bowiem proste wyrażenia wiejskie, ale łatwo było pojąć królowi, że przyczyną tego był mój pobyt u prostego dzierżawcy, który miał do czynienia z samemi wieśniakami.

Aby gruntownie wyjaśnić istotę rzeczy, rozkazał Jego królewska Mość przybyć trzem uczonym mężom i przedstawił mię tymże jako żyjącą zagadkę. Uczeni badali długo moją postać przez szkło powiększające i ma się rozumieć, każdy z nich innego był zdania. Wszyscy trzej jednak zgadzali się na to, że nie jestem według zwykłych praw natury stworzonym, bo nie mam wrodzonych zdolności do zabezpieczenia mego życia, ani przez wdrapywanie się na wysokie drzewa, ani kopania sobie kryjówek albo jam w ziemi. Wieleby na to potrzeba czasu, aby spisać te wszystkie przypuszczenia, które robili o mnie ci uczeni; krótko mówiąc zgodzili się oni w końcu na to, że jestem tylko „replum skalat“, to jest igrzyskiem natury. Po wygłoszeniu tonem niezaprzeczonéj pewności tego zdania uczonych, prosiłem o głos, aby dać bliższe wyjaśnienie mojéj istoty, wykazać jéj cel i prawo bytu. Król najłaskawiéj pozwolił mi mówić, stanąwszy więc przed Jego królewską Mością, nie zważając wiele na uczonych mężów, zapewniłem go słowem honoru, że nie jestem wcale igrzyskiem natury, ale, że przybywam z bardzo odległego kraju, zamieszkałego przez miliony ludzi téj saméj co ja wielkości; gdzie także drzewa, domy, zwierzęta, słowem wszystko jest stosunkowem do mojéj wielkości; gdzie wreszcie mogę istnieć, utrzymanie życia i obronę przeciw nieprzyjacielowi mieć mogę.

Ta przemowa moja, te słowa prawdy, którym w Europie nikt nie zaprzeczyłby, nie wystarczyły przecież do przekonania trzech wielkich uczonych, którzy z pogardliwym uśmiechem wyrazili złośliwą uwagę, że takiego opowiadania nauczył mię mój dotychczasowy pan, dzierżawca, abym je powtórzył przed królem i królową. Król jednak, rozsądniejszy od nich, odprawił ich i kazał przywołać dzierżawcę, którego w cztery oczy wypytał o mnie a potem Glumdalklicz w ten sam sposób, gdy zaś ich zgodne zeznania zgadzały się także z mojemi, dał zupełną wiarę tym zeznaniom. Oddał mię on dobrotliwie pod troskliwą

opiekę królowéj i zgodził się też na to, aby Glumdalklicz nadal przy mnie została, ponieważ widział, że oboje przywykliśmy do siebie.

Osobne mieszkanie urządzono dla Glumdalklicz w pałacu, przyjęto guwernantkę, pokojówkę i dwie służące do jej obsługi. Królowa rozkazała nadwornemu stolarzowi zrobić mi pudło, według wzoru przezemnie i przez Glumdalklicz podanego, mające mi służyć za sypialnię. Stolarz doskonale wykonał dane sobie zlecenie i w krótkim czasie zbudował pokój mający 16 stóp długości i tyleż szerokości a 12 stóp wysokości, z oknami, drzwiami, powała była tak urządzoną, że można ją było odemknąć; Glumdalklicz więc mogła codziennie wyjąć moje łóżko a usławszy je znowu wstawić i powałę nademną zamknąć. Ściany były także bardzo starannie przez tapicera królowy wysłane, abym w podróży nie doznał potłuczenia. Inny stolarz, bardzo biegły w wyrabianiu najdrobniejszych bawidełek dla dzieci, zrobił dla mnie z polecenia królowy, dwa krzesła z kości słoniowej, bardzo piękne i wygodne, tudzież sofkę i stósowny dla mnie stołek. Prosiłem także o zamek do drzwi, abym je mógł zamykać przed szczurami i myszami. Z wielką trudnością zrobił mi ślusarz zamek tak mały jakiego w tym kraju dotąd niewidziano, ja zaś niewidziałem tak wielkiego zamku u największych bram w Anglii, klucz nosiłem zawsze w mojej kieszeni, bo obawiałem się że Glumdalklicz mogłaby go łatwo zgubić, jak kluczyk od zegarka damskiego.

Gdy mieszkanie moje było już zupełnie urządzone, królowa widząc, że odzież moja jest już sterana, kazała w najpierwszych sklepach stolicy wyszukać najdelikatniejszej materyi, z której zrobiono dla mnie według najnowszej krajowej mody suknie które, zdawały mi się tak ciężkie i grube jak angielski najgrubszy pokrowiec na łóżko, i zaledwo później przyzwyczaiłem się do nich.

Im dłużej zostawałem na królewskim dworze, tem więcej lubiła mię królowa, która nawet nie mogła zjeść obiadu bezemnie. Stolik i krzesło dla mnie stawiano na stole, przy którym Jej królewska Mość siedziała. Glumdalklicz stała też na małym stołeczku przy stole, dając baczność na mnie i posługując mi. Miałem kompletny serwis srebrny, wszystkie naczynia i narzędzia do jedzenia, które Glumdalklicz po je-

dzeniu czyściła i w pudełeczku srebrném włożone zawsze w kieszeni swéj nosiła. W towarzystwie naszém jadały jeszcze tylko dwie królewne, z których jedna miała lat szesnaście, druga trzynaście. Królowa sama kładła mi zwykle na mój talerz kawałek mięsa i pokrajawszy go zachęcała do jedzenia, a niezmiernie to ją i królewne bawiło, gdy smacznie zajadałem. Apetyt królowy wprawiał mię w zdumienie, chociaż mówiono że ma słaby żołądek i bardzo mało jada; każdy kęs, który brała do ust, wystarczyłby dla dwunastu naszych chłopców, co w początku sprawiło mi odrazę. Całe skrzydło skowronka na raz do ust kładła i zjadała je, ze srebrnego delikatnie rzeźbionego kubka, który mógł mieć zawartości pół beczki, wypijała ona za każdym łykiem tyle napoju, że nim upiłby się u nas najtęższy chłop i to się nazywało w ich wysokim świecie damskim „dotykaniem zaledwo ust do szklanki“. Nóż jéj był dwa lub trzy razy większy od naszéj kosy, i odpowiednich téż rozmiarów były widelce, łyżka i reszta serwisu. Raz zdjęła mię ciekawość być obecnym przy nakrywaniu stołu dworskiego, i Glumdalklicz pokazała mi go wówczas gdy noże i widelce były przestawiane i przerzucane z miejsca na miejsce. Okropnie błyszczące i dzwięczące ich klingi i ostrza czyniły tak straszne na mnie wrażenie, że już późniéj nie miałem wielkiéj ochoty takiemu widokowi się przypatrywać. Jak już powiedziano, — jadałem zwykle tylko z królową i królewnami, ale co środa (która była niedzielą w owym kraju) zwyczaj dworski nakazywał, abyśmy jedli w towarzystwie króla i królewiczów. Przy téj sposobności król okazywał mi często dowody swéj życzliwości. Stół mój i krzesło stawiano wówczas bliżéj ku lewéj jego stronie tuż przy solniczce, aby mógł on wygodniéj szłyszeć głos mój, dowiadywał się wtedy łaskawie o zwyczajach i obyczajach, o stanie nauk, o formie rządu i o religii w mojéj ojczyźnie, o czem ile możności wyczerpujące dawałem wyjaśnienia; z odpowiednich zaś jego uwag i sądów przekonałem się, że był obdarzony niezwykłą potęgą umysłu. Pewnego jednak dnia mocno mię zirytował poglądem na stanowisko mojéj ojczyzny. Gdy długo rozwodziłem się nad naszemi sprawami i urządzeniami, opowiadając o wojnach morskich i lądowych, on nareszcie uśmiechnąwszy się i potrząsłszy głową, zwrócił się do stojącego za

nim pierwszego ministra, i rzekł: „Jakże godną jest politowania i pogardy wielkość ludzka, którą tak się chlubić lubimy, gdy może być małpowaną przez takie nędzne jak ta oto istota owady! A przecież to fakt, że ten mały robak ma takież same pojęcie jak my o swojém stanowisku, tytułach i godności; buduje sobie jamki i mrowiska, które nazywa miastami, pyszni się wspaniałemi sukniami, jeździ w karetach, kocha i nienawidzi, umiera, walczy, oszukuje i zdradza zupełnie tak samo jak my. Nie potrzebowałbym nawet pół kompanii żołnierzy, aby państwo tych istot w krótkim czasie zetrzeć z oblicza ziemi, a przecież mienią się być oni panami świata!“

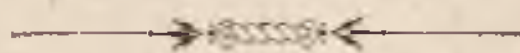
W ten sposób mówił czas długi, gdy ja mimowoli mieniłem się na twarzy zmuszony przysłuchiwać się tak pogardliwym sądom o mojéj ojczyźnie. Omal że nie straciłem całego szacunku dla jego Majestatu, a cierpkie uczucie zawładnęło mém sercem. Zapanowałem jednak nad tém uczuciem, wmawiając w siebie, że gdy raz się przyzwyczaję do miary stosunków Brobdingnagu, może sam się zaśmieję z niejednego zwyczaju europejczyków, wydającego mi się naturalnym i słusznym.

Doznawałem na dworze łaskawego obejścia się nie tylko ze strony wysokich osobistości, ale w ogóle od wszystkich, oprócz karła królowéj, który często mi dokuczał i szydził ze mnie. Ponieważ był on tak małego wzrostu (sądzę że wysokość jego wynosiła ze trzydzieści stóp), jakiego jeszcze nie widziano w kraju, przeto widok méj osoby nieco podrażnił dumę jego, bo w porównaniu ze mną uchodził za olbrzyma. Nie omijał przeto żadnéj sposobności, aby mi dać uczuć swoją wielkość i moją małość, z powodu któréj wciąż słuchać musiałem uszczypliwe docinki, za co też mściłem się w ten sposób, że go „bratem“ nazywałem i przedrzeźniałem tak jak to czynić zwykli paziowie. Raz wskutek podobnych złośliwych uwag wpadł on w złość taką, że nim się opatrzyć zdołałem, ujął mię przez pół i wrzucił do wazy stojącéj na stole, a napełnionéj mlékiem i sam uciekł. W skutek gwałtownego rzutu zanurzyłem się tak bardzo, że się dostałem do samego dna wazy i byłbym zginął bez ratunku, gdyby na szczęście moje nie nadeszła w samą porę Glumdalklicz, a potem królowa, i gdybym

jako biegle umiejący pływać nie wydobył się rychło na powierzchnię mléka. Glumdalklicz z pośpiechem zbliżyła się do wazy, wyciągnęła mię z tego mlécznego jeziora, a ostrząsnąwszy i otarłszy mię, położyła do łóżka, abym ochłonął z przestrachu i nie nabawił się zaziębienia. Ale karzeł dostał za to cięgi i musiał za karę wypić to samo mléko, w którém mię wykąpał; z wielką téż moją radością odprawiono go rychło z Dworu, który się nim już zaczął nudzić; gdyby był dłużéj pozostał, nieomieszkałby się zemścić na mnie za doznane cięgi.

Jeszcze dawniéj złośnik ten urządził ze mną psotę wcale nie zabawną dla mnie. Jéj królewska Mość wyjąwszy raz przy jedzeniu szpik z kosteczki, położyła ją napowrót próżną na talerzu. Karzeł skorzystawszy z chwilowéj nieobecności Glumdalklicz, wlazł na ławkę, któréj się ona zwykle trzymała usługując mi i pochwyciwszy mię, wpakował do próżnéj kostki aż po samą szyję. Można sobie wyobrazić jak tam wyglądałem. Karzeł tak szybko wykonał swój pomysł, że nikt mu w tem nie mógł przeszkodzić, ja zaś wstydziłem się wołać o pomoc. Dopiero po kilku minutach odkryła mię królowa i uwolniła z tego położenia zarówno śmiesznego jak przykrego. Suknie jednak moje tłuszczem od kości zupełnie były zniszczone. Już wówczas miał być psotnik wypędzony, pozostał jednak dzięki memu wstawieniu się i tylko otrzymał pewną liczbę razów szpicrutą. Czasami i królowa pozwalała sobie ze mną żartów, odbywało się to jednak w sposób nie przykry i nie uwłaczający przyzwoitości. Zarzucała mi ona często zbytnią bojaźliwość dlatego że unikałem much, ale czyniłem to właściwie nie z obawy przed niemi, lecz raczéj dla ich przykrego wejrzenia i nieznośnéj woni. Te brobdingnagskie muchy są tak wielkie jak nasze wróble i mogły mi przeto nie mało dokuczyć gdy brzęczały koło mnie lub gdy siadły mi na nosie; nic więc dziwnego, że ich unikałem. Karzeł dostrzegłszy wstręt mój do tych owadów, łowił ich pełną garść i rzucał mi w twarz, aby mnie przestraszyć, a królowę ubawić. Broniłem się w ten sposób, że wyciągałem mój nóż i celnie wymierzonemi razami przebijałem je w lot, w czem wprawiłem się wcale nie źle i co mi niebawem okazało się pożytecznem przeciw bardziéj niebezpiecznemu nieprzyjacielowi.

Glumdalklicz jak zwykle wystawiła mię wraz z domkiem moim pewnego pięknego dnia w ctwartém oknie, abym odetchnął świeżém powietrzem. Właśnie w chwili gdy kawałek ciasta jadłem na śniadanie, mnóstwo much końskich wielkości kur naszych wleciało przez otwarte okienko do mego pokoju, i jedne obsiadły ciasto, rozrywając je w kawałki, a inne znów dudniały jak miechy organów w około méj głowy, zagrażając mi swemi strasznemi żądłami. Polegając na nabytéj w walce z pokojowemi muchami zręczności, pochwyciłem odważnie za nóż, uśmierciłem z tuzin napastników, a resztę zmusiłem do ucieczki. Z zabitych powyciągałem skrzydła długości przynajmniéj po półtory stopy i starannie je przechowałem, a po powrocie do kraju, podarowałem trzy sztuki szkole w Greschau, a inne na pociechę porozsyłałem różnym przyrodnikom.



IV.

Byłoby teraz rzeczą pożądaną, abym dał czytelnikowi krótki opis godnego uwagi kraju, w którym doznałem opowiedzianych powyżéj przygód i jeszcze innych doznać musiałem. Samo się przez się rozumie, że podać mogę do wiadomości to tylko, co widziałem sam w Brobdingnagu, a co się ogranicza na jeden obwód dwóch tysięcy mil. Właśnie to królowa, któréj zawsze towarzyszyłem w podróży, nie jeździła daléj po za tę przestrzeń, gdy król dwa razy na rok objeżdżał swe państwo aż do granic. Cała przestrzeń tego państwa wynosi podług dokładnych pomiarów sześć tysięcy mil (naturalnie — geograficznych, nie angielskich mil) długości i pięć tysięcy szerokości.

Łańcuch gór, których największe wierzchołki sięgają trzydziestu mil wysokości, ogranicza to państwo na północnym wschodzie i zupełnie je z téj strony zamyka przed wszelką komunikacyą z resztą świata, gdyż góry te podległe są tak silnemu działaniu wulkanicznemu, że wyrzucany z nich bezustannie deszcz kamienny i lawa, czynią wszelki przy-

stęp niemożliwym. Dla tego to w Brobdingnagu nie mają najmniejszéj wiadomości o tem — czy jacy ludzie z tamtéj strony owéj olbrzymiéj góry żyją na świecie. Z trzech innych stron kraj ten, tworzący półwysep, oblany jest morzem, które jeżli gdzieindziéj ułatwia komunikacyę, tu przeciwnie jak owe góry zamyka ją, gdyż ujścia rzék i samo morze na przestrzeni stu mil od brzegu najeżone jest tak licznemi skałami, że najmniejsza nawet łódka przecisnąć się tamtędy nie zdoła i żegluga cała ogranicza się na wnętrze kraju, gdzie wszakże rzeki są tak olbrzymiéj szerokości i głębokości, że mogą unosić na sobie największe okręty. W obec takiego stanu rzeczy łatwo pojąć — dla czego mieszkańcy Brobdingnagu oddzieleni są od reszty świata, tak że najznakomitsi nasi geografowie nic o egzystencyi tego kraju nie wiedzą, jak również uczeni brobdingnagscy nie przeczuwają istnienia europejczyków i innych podobnych nam wielkością ludów. W skutek powyżéj opisanego stanu morza nawet większe ryby morskie nie mają przystępu do brzegów i tylko gwałtowna burza zapędzi tu niekiedy na ostre skały wieloryba, który w takim razie staje się łupem uboższych ludzi. Widziałem nieraz tego rodzaju zagnane wieloryby, które były takiéj wielkości, że je krajowiec tylko z trudnością na plecach mógł do domu unieść. Niekiedy podawano takiego wieloryba na stół królewski, ale dla widowiska raczéj, niż dla jadła.

Kraj bardzo jest zaludniony i oprócz głównych miast w liczbie pięćdziesiąt i jedno, ma nadto sporą ilość miasteczek i wiosek. Sposób budowania i urządzenia miast jest taki jak Lorbrulgrud, to też jéj opis wystarczy nam zupełnie. Potężny potok dzieli to miasto na dwie równe połowy, z których każdy liczy pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Długość jego wynosi trzy Glomglungi czyli pięćdziesiąt cztery angielskie mile, a szerokość pół czwarta Glomglungi. Najcelniejszy gmach miejski pałac królewski, razem z należącemi doń zabudowaniami, ma w obwodzie siedm mil i stanowi niejako dla siebie odrębne miasto. Wewnętrzne jego ubikacye, jak się tu domyśleć łatwo, są do tyla przestronne, że często po przejściu przez kilka salonów czułem się znużony. Abym mógł wygodnie obejrzeć miasto, rozkazała królowa trzymać zawsze w pogotowiu dla mnie, Glumdalklicz i guwernantki odpowiedni

pojazd, w którym więc często wyjeżdżaliśmy zwiedzać osobliwości stolicy, znakomitsze jéj gmachy i wspaniałe magazyny. Pojazd ten był tak przestronny jak plac westminsterski, chociaż nie zupełnie takiéj wysokości jak katedra westminsterska. Gdyśmy przejeżdżali obok jakiego znacznego gmachu lub pomnika, Glumdalklicz brała mię starannie na rękę, abym się mógł swobodnie rozglądnąć. W ten też sposób miałem nieraz sposobność obejrzeć gromady ludzi różnych stanów i zajęć, tudzież rozpoznać ich działalność.

Jak to już z początku zauważyłem, na tych olbrzymach tak też i na mieszkańcach stolicy sprawdziłem, że ludzie Brobdingnagu dobrze i pięknie są zbudowani, ale dla naszego wzroku rasa ta jest tem, co nazywamy zwykle „pięknością zdala“, bo patrząc z bliska na cerę i skórę najdelikatniejszéj nawet damy, przestraszałem się z początku jéj grubością i brzydotą. Przed bystrém okiem mojém, zaprawionóm do patrzenia na przedmioty małe, nie uszła uwagi najmniejsza nierówność lub włos pokrywający skórę, to też tak często opiewana przez tamtejszych poetów ręka Jéj królewskiéj Mości, która do najpiękniejszych i najdelikatniejszych kobiet w państwie zaliczaną była, wydała mi się okropną; przedstawiła mi się ona w ten sposób, jak gdybyśmy na palec nasz patrzyli przez bardzo powiększające szkło, przez które niewidzialne nawet zmarszczki i włosy występują z całą dokładnością. Wobec takiéj właściwości skóry, nic dziwnego, że mi się znośnemi wydali ci brudni i wstrętni ludzie, których tak często widziałem w ojczyźnie pomiędzy straganiarzami lub żebrakami.

Oprócz większego mieszkania kazała dla mnie królowa urządzić „chałupkę“ jak się wyrażała, bo była mniejszą i miała tylko dwanaście stóp kwadratowych objętości, a dziesięć stóp wysokości. Z nią też brano mię w podróż jako najwygodniejszą do transportowania. Ta też odpowiednio była urządzona na zewnątrz i wewnątrz i przedstawiała się dogodniejszą tak dla tych, którzy ją w ręce brali, (jak naprzykład służący gdy jeździł ze mną na koniu), jako też i dla mnie. Nie doznawałem w niéj takich niewygód jak w tamtéj większéj i siedząc w niéj podczas podróży, uczuwałem tylko tak lekkie kołysanie, jakiego się doznaje na morzu podczas silniejszego miotania wiatru statkiem. A do tego byłem przyzwyczajony w tak licznych podróżach moich po morzu.

W tym przenośnym domku, który Glumdalklicz mogła wygodniéj nosić na ręku, zwiedzałem miasto i udałem się razu jednego do głównéj Świątyni, któréj wieża miała uchodzić za największą i najpiękniejszą w państwie. Omyliłem się wszakże w tem przypuszczeniu, gdyż wysokość jéj od podstawy aż do wierzchołka wynosiła zaledwo trzy tysiące stóp, co zgoła nie było w odpowiednim stosunku do wzrostu mieszkańców. Ale za to pod względem mocy i piękności w budowie nic jéj nie brakowało. Stustopowéj grubości mury stawiane były z ciosu, pięknie rzeźbionego, posągami bogów i królów jakotéż w ogóle ornamentyką pełną gustu i wykwintną. Posągi mogły być wielkości kolosu rodyjskiego, biorąc wymiar z palca, który znalazłem w rumowisku, pochodzącego z takiéj jednéj rozbitéj figury, a którego wielkość wynosiła cztery stopy i jeden cal. Glumdalklicz zawinęła w chusteczkę palec ten rzeźbiony z marmuru i wzięła go z sobą do domu jako zabawkę.

Również sama świątynia czyli kościół odpowiednio była zbudowana i przedstawiała wnętrze pięknie ozdobione. Pod sklepieniem sześciuset stóp wysokiém mieściły się ołtarze i ławki drewniane i kamienne, z których jedna sztuka wystarczyłaby dla nas do zbudowania z niéj przyzwoitego pałacu. Słowem wielkość wszystkich w ogóle przedmiotów w Brobdingnagu używanych przechodzi wszelkie nasze pojęcie. Widziałem naprzykład piece, których objętość mało co ustępowała objętości kościoła św. Pawła w Londynie. Pomijam opis posudy kuchennéj, tych kolosalnych garnków i talerzy, jako też owych olbrzymich sztuk mięsa, które pieczono na rożnach wielkości naszych największych drzew masztowych, bo się obawiam aby mnie nieposądzono o przesadę.

Wspaniały widok przedstawiała gwardya konna królewska na kolosalnych pięćdziesięciu do sześćdziesięciu stóp wysokich koniach z lancami, których ostrza sięgnęłyby zapewne naszych nizko unoszących się chmurek. Udając się w podróż, król bierze zawsze z sobą pięciuset z téj gwardyi, jako swoją straż honorową; postawa jéj i strojność budząca podziw, przedstawiają się wówczas tylko w należytém świetle, gdy się ją zobaczy wśród znaczniejszéj ilości wojska, naprzykład na manewrach, które miałem też sposobność późniéj oglądać.

V.

Czułbym się dość szczęśliwy w téj krainie olbrzymów, otoczony opieką i życzliwością dostojnych mych Państwa, gdyby kolosalność rozmiarów wszelkich znajdujących się tam przedmiotów nie narażała mnie często na przykre wypadki. Glumdalklicz starała się o to, by mię niekiedy z moim domkiem wynosić do królewskiego ogrodu, żebym mógł się cieszyć pięknym widokiem i świeżém powietrzem. Pewnego dnia towarzyszył nam karzeł, który wówczas był jeszcze na Dworze i wszedł razem z nami aż do miejsca, gdzie mię Glumdalklicz postawiła na ziemi pod młodą jabłonią. Nie upłynęło chwil kilka, gdy psotnik wlazł na drzewo i począł niém trząść tak silnie, że jabłka wielkości beczułek poczęły gęsto naokoło mnie latać i gdy cofałem się aby się przed niemi uchronić, jedno z nich z takim impetem spadło mi na kark, że jak długi rozciągnąłem się na ziemię; szczęściem nie bardzo mię potłukło.

Innym znów razem, gdy Glumdalklicz, wyszedłszy z guwernantką na przechadzkę, zostawiła mię samego pod otwartém niebem, takowe zachmurzyło się nagle i wśród grzmotów i piorunów sprowadziło burzę gradową. Już pierwsze ziarnka wielkości kułaka ogłuszyły mię prawie, a następujące po nich byłyby mię niezawodnie rozmiażdżyły, gdybym się był pospiesznie nie schronił do altanki.

Jeszcze niebezpieczniejszym był wypadek, którego doznałem w tym samym królewskim ogrodzie. Glumdalklicz, mniemając, że mi bezpiecznie będzie siedzieć pod krzakiem, oddaliła się z panną służącą, o kilkanaście ztamtąd kroków, aby uzbierać trocha kwiatów z trawnika; tymczasem przypadkowo ztamtąd biegnący wyżeł ogrodnika zoczył mię i zbliżył się do krzaku. Napróżno krzyknąłem i zawołałem o pomoc; w okamgnieniu pochwycił mię w paszczę, a przeskakując krzaki i rowy uniósł mię aż do swego pana, pracującego w oddalonej części ogrodu i kręcąc ogonem złożył mię u stóp jego. Ogrodnik, który znał mnie i moje stanowisko na Dworze, wpadł w strach niewymowny i podjął mię ostrożnie z ziemi, a stokrotnie przepraszając za nadmierną

gorliwość psa swojego, wypytywał mię z troskliwością o stan zdrowia. Powstawszy na nogi i spostrzegłszy, że jestem cały i nienaruszony (bo pies nie ukąsił mnie, a zdobycz swoję — jak tego tresura wymagała, przyniósł ostrożnie w pysku), uspokoiłem ogrodnika że jestem nietknięty. Poczem zaniósł on mnie do Glumdalklicz i oboje razem prosili, abym o całém tém zajściu nie wspominał na Dworze, co też chętnie przyrzekłem i oczywiście dotrzymałem.

Innym razem znów, nie przeczuwając nic złego, położyłem się pod kwitnącym krzakiem róż, pojąc się cudownym zapachem i podziwiając bogactwo kwiatu, wielkości talerza. Nagle poczułem jakby gwałtowną w około mnie burzę z wiatrem, a wzrok zaciemniły mi jakby spadające z nieba chmury. Nie tracąc jednak przytomności, zerwałem się na równe nogi i przekonałem się, że to był jastrząb, który spadłszy z obłoków, uderzył mię potężném skrzydłem dziesięciołokciowém, aby następnie pochwycić w swe szpony. W jednéj chwili wyciągnąłem pałasz swój z pochwy i zadałem kilka ran napastnikowi, długo jednak nie mógłbym się był opierać silniejszemu o wiele ptakowi i dlatego pośpiesznie cofnąłem się do gęstszych zarośli, a przez spieszących zewsząd ludzi zostałem rychło uwolniony od okropnéj trwogi. Niezadługo potem i niedaleko tegoż samego miejsca wpadłem w otwór kretowiska, skąd tylko z wielką trudnością wydobyłem się na wierzch. Słowem te i tym podobne wypadki spotykały mię co chwila.

Co mię bardzo gniewało, to to, że nawet najmniejsze ptaki nie czuły żadnego dla mnie respektu; pośmietiuchy, sojki, wróble, szczygły (będące oczywiście wielkości odpowiedniéj rozmiarom innych przedmiotów tego kraju), szukając owadów lub ziarna kręciły się około mnie, jak gdyby mnie wcale na świecie nie było, nie zwracały wcale uwagi na moją osobę i bez żadnéj subjekcyi wyrywały mi z rąk chléb lub ciastka. To mię tak złościło, że razu pewnego cisnąłem na jakąś zbyt natrętną sojkę kamieniem i tak ją trafiłem, że jakby nieżywa padła na ziemię. Gdy mniemałem że już istotnie nie żyje, pochwyciłem ją obu rękoma, mogła ważyć najmniéj dwadzieścia cztery do trzydziestu funtów, — pragnąc zanieść do mojéj kochanéj opiekunki, poczciwéj Glumdalklicz. Po drodze jednak ptaszek — ogłuszony tylko narazie odzyskał życie i po-

czął tak niemiłosiernie trzepotać, bić mię skrzydłami i drapać pazurami, że go już byłem gotów wypuścić, gdy nadbiegł sługa i skręcił mu kark.

Królowa, korzystając z każdéj sposobności uprzyjemniania mi pobytu w Brobdingnagu, a słysząc mię często opowiadającego o podróżach morskich, wpadła na myśl czyby nie można dla mnie sporządzić odpowiedniéj łódki. Gdy mi ten zamiar zakomunikowała, pytając ażali mi to sprawi radość, objąłem z wdzięczności koniec jéj małego palca. Poczem rozkazała nadwornemu stolarzowi, aby w porozumieniu ze mną i podług modelu jaki mu udzielę — wykonał zlecenie. Jéj królewska Mość w mądrości swojéj zrozumiała, że nie byłbym w stanie kierować żadną z istniejących w jéj państwie łódek, z których najmniejsza przenosiła rozmiarami swemi największe nasze okręta wojenne. Dałem więc odpowiednie wskazówki stolarzowi, który też w krótkim stosunkowo czasie wykonał robotę i przyniósł mi gotową łódkę, mogącą umieścić ośm ludzi mojego wzrostu wraz z żaglem, masztem i sterem. Ujrzawszy ją królowa, tak się tem ucieszyła, że wzięła w rękę i zaniosła pokazać królowi, a ten na próbę rozkazał mi jeździć nią w basenie szklannym, przeznaczonym dla złotych rybek. Przestrzeń ta jednak okazała się za szczupłą i mało wystawioną na działanie wolnego prądu powietrza, w skutek tego żagiel i ster nie mogły być dostatecznie użyte. To właśnie przewidziała królowa i abym miał wygodne miejsce do żeglugi, rozkazała stolarzowi zrobić drewniany cebrzyk czterystu stóp długości i pięćdziesięciu szerokości, a gdy był gotów, ustawiła go służba w przedpokoju pałacowym i napełniła wodą. Tu więc miałem sposobność rozwinąć swój kunszt żeglarski przed królową i jéj damami dworskiemi. Sterowałem szybko i zręcznie we wszystkich kierunkach, wykonując różne zwroty i ewolucye jak biegły i doświadczony marynarz. Gdy stanąłem u steru i rozwinąłem żagiel, zgromadzone damy znajdowały w tem wiele uciechy, że mogły swemi fartuszkami lub wachlarzami robić wiatr nadymający żagiel, a gdy się tą czynnością zmęczyły, przystępowali kolejno służący i dmuchali w żagiel. W ten sposób nie zabrakło mi dostatecznego i przyjaznego wiatru do żeglugi; a gdym się najeździł długo i następnie wylądowałem,

Glumdalklicz wzięła mą łódkę do swego pokoju, i dla wyschnięcia zawiesiła ją na kołku.

Przy takich przejażdżkach doznałem raz wypadku, który mógł mię na zawsze pozbawić ochoty do podobnego rodzaju zabawy. Właśnie jeden z paziów spuścił był łódkę na wodę, a guwernantka mojéj Glumdalklicz łaskawie podjęła mię z ziemi, aby posadzić na okręt, przez ostrożność wszakże, aby mnie zbyt nie ścisnąć, nie dość mocno trzymała, tak że wyśliznąłem się jéj z pomiędzy palców i spadłem na ziemię z wysokości sześdziesięciu stóp. Byłbym się rozbił na kawałki, gdybym spadając nie był przypadkowo zawisnął na haftce guwernantki; haftka nie kalecząc mię wcale, uczepiła się dolnéj części ubrania i bujałem tak w powietrzu zawieszony, aż Glumdalklicz przyskoczyła i ostrożnie mię zdjęła.

Inny znów wypadek, którego doznałem rychło po zaprowadzeniu owych przejażdżek wodnych, mógł się również stać wielce niebezpiecznym dla mnie. Jeden ze służących, dolewając świeżéj wody do cebrzyka, nie spostrzegł jak z nią razem wcisnęła się tam żywa żabka, więc gdy rozpocząłem żeglugę, żabka wypłynęła na wierzch i tak się przycisnęła do jednéj strony łódki, że ją ciężarem swoim omal że nie wywróciła. Przy jéj niezwykłéj wielkości głowa wystąpiła z tułowia w całéj obrzydliwości, a bryzgając wodą, całkiem mnie zawalała i zamierzała skoczyć na łódkę. Glumdalklicz pospieszyła z pręcikiem aby ją odstraszyć, nie czekałem wszakże na tę pomoc, lecz sam nożem zadałem jéj parę razów tak silnych, że się natychmiast cofnęła i zanurzyła w głąb wody. O wiele gorsze mógł mieć skutki następujący wypadek. Wybierając się razu pewnego gdzieś z wizytą, Glumdalklicz zamknęła mię w swoim pokoju. Dzień był gorący; to też okna pokoju, jakoteż drzwi mego mieszkania były odemknięte. Siedziałem właśnie przy stole zajęty wspomnieniami o kraju rodzinnym, gdy posłyszałem coś gramolącego się do pokoju. Oglądnąwszy się, ujrzałem małpę, która weszła przez otwarte okno i z różnego rodzaju grymasami i pantominami przeskakiwała z krzeseł na stoły. Cofnąłem się w najdalszy zakątek mieszkania, ale ciekawe zwierzę przesunąwszy łapę przez okno, wyciągnęło mię, drżącego ze strachu, z łóżka, mimo oporu

z méj strony, posadziło mię na prawéj łapie i zaglądając w oczy, głaskało i drapało, jak to w ogóle mają małpy zwyczaj robić z dziećmi, bez sprawienia mi wszakże przykrości. Ale gdy chciałem wyrwać się i wyskoczyć, ściskała mię tak mocno, że bałem się, aby mi kości nie połamała. Poddać się więc musiałem ze spokojem dalszemu losowi. Z nieustających wstrętnych pieszczot przekonałem się, że ma mię za młodą małpkę. Naraz powstały w pokoju szmer przestraszył ją i powziąłem nadzieję, że mię wreszcie wypuści z objęć swoich, ale właśnie stało się przeciwnie i dopiero rozpoczęło się prawdziwe dla mnie niebezpieczeństwo. Małpa wyskoczyła wprawdzie przez okno, ale mnie nie wypuściła, owszem przycisnąwszy mię mocno do siebie, wyskoczyła na dach i ku wielkiemu strachowi mojemu biegała naokoło po rynnach. Słyszałem jak Glumdalklicz, która właśnie wejściem swojém do pokoju była wypłoszyła zeń małpę, krzyczała głośno, gdy mię ujrzała w niebezpieczeństwie. Biedna dziewczyna prawie straciła rozum, wznieciwszy popłoch między wszystkimi mieszkańcami pałacu: służba poprzybiegała z drabinami; wszyscy pałacowi patrzyli na to jak małpa usiadłszy na szczycie dachu, pieściła mię łapą jakby dziecię swoje i — o czem bez wstrętu wspomnieć nie mogę — lizała moją twarz i głowę, a wyjąwszy z drugiéj łapy kawałek pomiętoszonego i zbrudzonego ciastka, pchała mi je gwałtem w usta. Zgromadzona na dole gawiedź śmiała się z mego okropnego położenia. Niektórzy ciskali kamienie na dach, aby ją ztamtąd spędzić, ale natychmiast to zabroniono, bo mogło się i mnie dostać takim kamieniem.

Nareszcie poprzystawiano drabiny i zewsząd poczęli spieszyć ludzie na mój ratunek. Spostrzegłszy to małpa i widząc się ze wszech stron otoczoną, zostawiła mię na dachu, aby z całą swobodą jaką rozporządzić mogła wszystkiemi czterema łapami, co żywo umknąć ztamtąd. Zostałem więc na dachu pod działaniem palących promieni słońca na wysokości pięciuset łokci od ziemi, obawiając się co chwila aby silniejszy podmuch wiatru nie zrzucił mnie ztamtąd, aż wreszcie jeden z odważniejszych chłopców, śmiało wygramoliwszv się na dach, zdjął mię, schował do kieszeni i szczęśliwie wrócił ze mną na ziemię. Od resztek ciasta, które mi małpa w gębę wpychała, prawie dusiłem się

i poczciwa Glumdalklicz starała się oczyścić mi z nich usta i położyła w łóżko, gdzie wskutek doznanych pieszczot, wstrząśnień i strachu musiałem przeleżeć ze dwa tygodnie. Król i królowa jako też Dwór cały wiele mi przez ten czas okazywali pieczołowitości i codziennie dowiadywali się o stanie mego zdrowia. Małpę wszakże zabito i obwieszczono rozkaz, aby nigdy w pobliżu pałacu nie trzymano podobnego rodzaju zwierząt.

Gdym przyszedł do zdrowia i odwiedziłem króla, aby mu podziękować za jego pieczołowitość, wypytywał mię tenże żartobliwie, jakich uczuć doznawałem będąc w szponach małpy, czy mi bardzo smakowały podawane przez nią ciastka i czy świeże powietrze na dachu zaostrzyło mój apetyt. Aby mu dać poznać cobym w takim razie w ojczyźnie mojéj zrobił, odpowiedziałem, że małpy są u nas o wiele mniejsze, że je z łatwością po kilka naraz pokonać można, że w tym wypadku, gdybym był nie stracił przytomności umysłu, byłbym jéj dał uczuć siłę moją końcem méj szpady. To samochwalstwo wypowiedziane tonem stanowczym, i poparte gestem, jaki uczyniłem kładąc prawą rękę na rękojeści szpady, miało ten tylko skutek, że król parsknął śmiechem.

Takiemu śmiechowi i szyderstwu ulegała często odwaga moja, znana i ceniona w Europie. Śmiał się nie tylko król, ale i jego otoczenie. Raz poszedłem na spacer w towarzystwie Glumdalklicz i jéj guwernantki, a pragnąc przed niemi popisać się swoją zręcznością, usiłowałem przesadzić rów, a właściwie bruzdę, którą pasąca się na łące krowa zrobiła rogiem czy racicą. Zamiast jednak przeskoczyć, ugrzązłem w błocie, z którego mię przy śmiechu towarzyszących mi kobiet wyciągnął służący. Musiałem też późniéj znieść docinki i żarty tak królowéj jak dam dworskich, którym Glumdalklicz opowiedziała ten wypadek.

VI.

Miałem zwyczaj znajdować się raz lub dwa razy na tydzień w pokoju króla podczas jego rannego wstawania i przy téj sposobności widziałem jak go kamerdyner golił. Widok ten z początku przestraszał mię gdym patrzał na olbrzymią brzytwę, dwa razy większą od naszéj kosy, ale późniéj przyszła mi szczęśliwa myśl do głowy. Wyprosiłem od kamerdynera trochę zgolonego szlamu mydlanego, z którego wydobyłem kilkadziesiąt najmocniejszych włosków z brody królewskiéj. Z kawałka delikatnego drzewa wystrugałem deszczułkę w kształcie téj, jaka się używa zwykle do szczotek, igłą poprzewiercałem w niéj otwory, w których umocowałem owe resztki z brody tak dobrze, że się zrobiła przez to wyborna szczotka.

Gdy się przekonałem, że tego rodzaju przedmioty wykonywać mogę z pewną zręcznością i wprawą, skracałem ich wyrobem długie dnia godziny. Z wypadłych włosów królowéj, które mi na prośbę moją zachowała dama dworska, wyplotłem dwa siedzenia na krzesła, umyślnie w tym celu zamówione przezemnie u stolarza. Gdy już były gotowe, złożyłem je w podarunku Jéj królewskiéj Mości, która je w swoim gabinecie przechowywała i jako osobliwość chętnie wszystkim pokazywała. I rzeczywiście budziły one podziw tych, którzy je widzieli. Z takich samych włosów zrobiłem małą sakiewkę pięciu stóp długości i za przyzwoleniem królowéj podarowałem ją Glumdalklicz. Zapewne że taka sakiewka nie mogła się przydać na zbyt wielkie w tamtym kraju używane pieniądze, to też Glumdalklicz przechowywała ją jako zabawkę.

Król, rozmiłowany w muzyce, kazał często dawać w pałacu koncerta, a dla sprawienia mi przyjemności wnoszono też i mnie z moją budą do sali koncertowéj. Nie była to wszakże wielka dla mnie uciecha — przysłuchiwać się grzmotowi olbrzymich instrumentów, który tak był donośny, że zaledwo pochwycić mogłem melodję i zmuszony

bywałem zatykać sobie uszy. Jestem mocno przeświadczony, że wszystkie bębny i trąbki armii angielskiéj nie byłyby w stanie sprowadzić tyle hałasu ile ta muzyka. To też podczas następnych koncertów kazałem zwykle stawiać mój domek jak można najdaléj od miejsca, gdzie siedzieli muzykanci, zamykałem w nim drzwi i okna, tudzież zasuwałem firanki. Wówczas muzyka nie wydawała mi się nieprzyjemną, chociaż niekiedy musiałem jeszcze przykładać ręce do uszu.

Glumdalklicz dwa razy tygodniowo brała lekcye na instrumencie, bardzo podobnym do naszych fortepianów i na którym w ten sam sposób grano jak u nas, to jest palcami. A ponieważ w młodości mojéj uczyłem się trochę gry fortepianowéj, przyszła mi więc myśl — ucieszyć króla i królową odegraniem angielskiéj melodyi na tym instrumencie. Dla wykonania jednak tego zamiaru, którego z niecierpliwością czekały Ich królewskie Mości, potrzeba było przełamania wielu trudności z méj strony, gdyż klawikord miał około sześćdziesięciu stóp długości, a każdy klawisz — stopę szerokości, tak że rozciągnąwszy ramiona zaledwo byłem w stanie objąć nie więcéj nad pięć klawiszy. Również uderzenia w klawisze byłyby uciążliwe dla mnie. Chwyciłem się więc następującego sposobu. Zaopatrzyłem się w parę giętkich pałek, z których każda była u jednego końca grubsza i te końce poobwijałem skórką tak, że pałki te nabrały podobieństwa do owéj pałki, którą pułkowi dobosze nasi używają do bicia w duży bęben, jeno nieco dłuższe. Ich to użyłem do uderzeń w klawisze. Gdy już wszystko było w pogotowiu i gdy przed klawikordem ustawić kazałem odpowiedniéj długości i wysokości ławkę, czekałem pełen otuchy na dostojnych słuchaczy. Gdy ci się zebrali, zacząłem memi pałkami bić po klawiszach tak zręcznie, że nie wypadłem ani z taktu, ani z melodyi, i obdarzony zostałem najżywszemi pochwałami królewskiéj pary tudzież ich orszaku. Gra jednak sama, przy któréj naturalnie dla długości instrumentu musiałem wciąż przeskakiwać z jednego końca ławki na drugi, zmęczyła mię okropnie, a mimo to nie mogłem należycie gry wykonać, bo nie byłem w stanie sięgnąć jednocześnie basu i wiolinu.

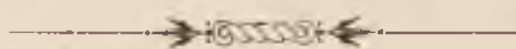
Król, jak to wyżéj już zaznaczyłem, będąc monarchą wielce wykształconym, przywoływał mię często do siebie i sadzał na swym

biórku w bliskości swych uszu, aby wygodnie ze mną rozmawiać. Otóż przy takiéj sposobności odważyłem się mu pewnego dnia zauważyć, że to lekceważenie, z jakiém odzywał się nie, raz głośno o nas europejczykach, nie było słusznem, świadczyło o błędném pojęciu i zgoła nieodpowiadało znakomitym przymiotom umysłu Jego królewskiéj Mości. Był on wciąż tego mniemania, że nasz wzrost mały nie daje możności dostatecznego rozwinięcia się umysłu, jak gdyby wielkość duszy zawisłą była od wielkości ciała. Wszak uczyniono spostrzeżenie, że olbrzymiego wzrostu ludzie nie zawsze są obdarzeni odpowiednią siłą duchową, gdy znów przeciwnie mali często zdradzają bystry umysł. Toż samo w świecie zwierzęcym bywają tak drobne istoty jak pszczoły i mrówki, które posiadają wysoką inteligencyą, a jeźli między większemi okazami znajdujemy słonie i konie wielce przemyślne i rozumne, to natomiast osły, nosorożce, wieloryby i krokodyle nie zdradzają zbytniéj inteligencyi. Niech król zbyt nizko nie szacuje ani mnie, ani mój naród, a jeźli mi pozwoli, to gotów jestem dać mu obraz szczegółowy Europy, a zwłaszcza mojéj ojczyzny, który może przyczyni się do wyrobienia korzystniejszéj o nas opinii.

Szlachetny monarcha, zamiast się rozgniewać za moją otwartość, słuchał mię z pobłażliwością i uwagą, a wreszcie zażądał, abym mu w głównych zarysach streścił stan Anglii, wiedząc iż chociaż kocham ojczyznę moją, jednak prawdy o niéj nie zamilczę: przy czém dodał, że jeźli podług tych opowiadań znajdzie coś godnego naśladowania ze zwyczajów i urządzeń w mojéj ojczyźnie, to nie zachowa tego przy sobie, lecz z największą skwapliwością poda to do wiadomości i użytku swoich poddanych.

O jakże gorąco biło mi serce, gdy nareszcie uzyskałem tak dobrą sposobność krasomownego przedstawienia wielkości i sławy mojéj ojczyzny przed tak potężnym i szlachetnym mocarzem! Co też jak mogłem najlepiéj uczyniłem, ale król przerywał mi często pytaniami i cały rezultat z owéj pochwalnéj o ojczyźnie mowy był ten, że po skończeniu jéj, król uśmiechając się, ujął mię za rękę i rzekł: „Mój kochany mały przyjacielu! Wypowiedziałeś godną podziwienia pochwalną mowę dla twojéj ojczyzny. Ze wszystkiego jednak, co mi wyłuszczyłeś,

wynika to, że ciemnota, nietolerancja, pyszałkowstwo, przywary i zbrodnie rozsiadły się również szeroko w Europie, zostawiając często zbyt mało miejsca cnocie, pilności i istotnym zasługom. Mogę cię zapewnić, że słuchając twego opisu i odpowiedzi na moje pytania, nie mam dotychczas wielkiéj ochoty do zaszczepiania w mém państwie europejskich obyczajów i urządzeń". Napróżno starałem mu się zaprzeczyć i uczynić go uważnym na to, że z oddzielnych wypadków nie można wnioskować o wszystkiém. Z powagą i znaczącém poruszeniem ręki pożegnał mię i w ten sposób audjencya była skończona.



VII.

Mimo dobrego a nawet znakomitego przyjęcia, jakiego doznawałem na dworze brobdingnagskim, myśl moja ustawicznie ścigała ojczyznę, a serce wciąż pragnęło ją ujrzeć. Rozmyślałem nad rozmaitemi sposobami, mogącemi mi ułatwić podróż do kraju, ale nie znajdowałem żadnéj na to rady. Jeno nadzwyczajny jakiś wypadek, gwałtowna naprzykład burza mogła tu znów zapędzić okręt europejski i mnie ztąd zabrać. Ale na to można było czekać lata całe, a zresztą król wydał rozkaz, aby — w razie gdyby znów kiedy rozbił się u brzegów jego państwa okręt z podobnymi karzełkami jak ja — przytrzymać go, a załogę całą przewieść w głąb kraju, bo miał ochotę całą z takich ludzi założyć u siebie kolonję. Gdy tak kolejno traciłem wszelką nadzieję powrotu, zaszedł wypadek, który prędzéj niż się spodziewałem urzeczywistnił marzenia moje.

Było to w końcu drugiego roku pobytu mojego w Brobdingnagu, gdy — jak to już nieraz bywało — towarzyszyłem wraz z Glumdalklicz królowi i królowéj w podróży. Podróż odbywała się trybem zwyczajnym, nie nastręczając nic osobliwszego; podczas niéj siedziałem i spałem sobie wygodnie w znanym już przez czytelników domku moim i z przyjemnością wychodziłem zeń na świeże powietrze, ile razy za-

trzymywano się w podróży. Taką potrzebę świeżego powietrza uczułem jeszcze żywiéj, gdyśmy po długiéj podróży przybyli do królewskiego zamku Flanflasnic, położonego na południowym brzegu państwa. Możność zobaczenia znów oceanu, dla którego zawsze miałem słabość, podnieciła z niem nadzieję powrotu mego do ojczyzny. Jakaś niewidzialna siła, głos wewnętrzny duszy ciągnęły mię ku morzu. Prosiłem o pozwolenie przejażdżki nad brzeg morski, tłumacząc prośbę moją tem, że powietrze morskie dobroczynnie na mnie działa. Powierzono więc mię wraz z moim domkiem podróżnym opiece pazia, który miał mię zawieść na wybrzeże i nigdy nie zapomnę jak Glumdalklicz gorzko płakała, rozstając się ze mną, jakby przeczuwała, że już się nigdy nie zobaczymy. Paź zawiózł mię w domku nad brzeg morza, oddalonego o pół godziny drogi od pałacu. Tu kazałem mu postawić mię na ziemi i pozostawić jakiś czas w spokoju, bo potrzebowałem trochę spoczynku i snu. Chłopiec był posłuszny rozkazowi i pozamykawszy szczelnie okiennice mego domku, odszedł dla szukania muszli nad brzegiem morza.

Zaledwo zdrzemnąłem się, uczułem silne pociągnięcie i szarpnięcie kółka, które było umocowane do domku dla wieszania go lub łatwiejszego przenoszenia. Czułem wyraźnie jak domek mój coraz wyżéj i coraz chyżéj unosi się w powietrzu, ruch jednak ten był tak łagodny, że swobodnie mogłem pozostać nadal w postawie leżącéj. Wstałem jednak powodowany zdziwieniem i strachem, przystąpiłem do okna, aby się dowiedzieć o przyczynie tego niezwykłego zjawiska, ale nic nie widziałem prócz nieba i obłoków, które niekiedy tak blisko domku mego przesuwały się, że mogłem je dosięgnąć ręką. Nareszcie spostrzegłem około mnie szmer, jakby pochodzący od silnego poruszania skrzydeł i od razu stanęła mi przed oczyma cała groza mego położenia. Jeden z orłów wielkości odpowiedniéj rozmiarom innych przedmiotów tego kraju, pochwycił dzióbem za sznur uwiązany do kółka i uniósł mię w powietrze, widocznie w tym celu, aby domek gdzieś cisnąć o jaką skałę, rozbić go i wydobyć zeń żyjątko, jakie w nim przeczuwał. Tak często postępują orły z żółwiami. Gdy rozmyślałem nad okropnością tego stanu, posłyszałem jak poruszania skrzydeł wzmagają się i jednocześnie uczułem silne wstrząśnienie i przewrócenie się mego

domku. Dalej czułem jak spadałem pionowo na dół coraz szybciej, i szybciej, tak że mi prawie oddechu brakowało. Z okropnym łoskotem upadłem wreszcie z domkiem na jakiś miękki i hałaśliwy przedmiot i w tejże chwili zaciemniły się okna moje tak, że w około mnie ciemność nocna zapanowała. Ale i ta nagła zmiana nie długo trwała: znów uczułem jak się mój domek wznosi, znów światło dzienne zaczęło się wciskać przez okna i gdy zerwałem się, aby zobaczyć co się dzieje, przekonałem się, że musiałem widocznie na otwartém znajdować się morzu. Domek mój płynąc zanurzony był w wodzie nie więcéj nad pięć stóp.

Wkrótce też sobie wyjaśniłem to nowe dla mnie położenie. Orzeł, który mię pochwycił, został — jak to przyśpieszone i hałaśliwe uderzenia skrzydeł świadczyły — napadnięty w powietrzu przez dwa inne orły, które mu zapewne odebrać chciały jego zdobycz i w powstałéj z tego powodu walce pierwszy orzeł, potrzebując wolnego dzióba do obrony, opuścił mój domek. To szczęście jeszcze że upadłem w morze, nie zaś na skały.

Dzięki porządnéj i mocnéj robocie domku, woda do wnętrza jego nie wsiąkała, tak że unosiłem się na powierzchni morza jakby w jakim dobrze zaopatrzonym okręcie. Położenie moje wszakże przez to się nie polepszyło, gdyż bez steru i żagli byłem igraszką fal i co chwila mogłem się obawiać rozbicia o skały. A zresztą niechby jedna tylko szyba w oknie pękła i woda wciskać się poczęła, byłbym zmuszony pić bez końca i miary wody, jak ta mysz, którą wrzucają wraz z łapką do wody. Ileż to razy wówczas pomyślałem o mojéj kochanéj Glumdalklicz, która gorzko musiała opłakiwać stratę moją i jeśli kto, to ona by teraz najbardziéj uczuła nieszczęśliwe moje położenie!

Myślałem o tem czy nie zjawi się jaki okręt na ratunek; próbowałem uchylić wierzch domku i w ten sposób w otwartem pudle siedzieć i na świat Boży patrzyć, bo zresztą mimo trwałéj budowy domku, woda coraz bardziéj wciskała się do wnętrza tak, że obawiałem się otworzyć okno. Nie mogłem wszakże ani podnieść, ani uchylić wieka i w rozpaczy oddałem się na łaskę ślepego losu, czekając zatonięcia lub śmierci głodowéj, gdy naraz usłyszałem jakieś tarcie

przy kółku, za które był mię orzeł pociągnął. Zaraz mi przyszedł na myśl okręt z ratunkiem. Wylazłem z pośpiechem na krzesło ku otworowi, który się znajdował w górnéj części wieka i zacząłem krzyczeć w niebogłosy, wołając w różnych znanych mi językach o pomoc. Jednocześnie przytwierdziłem chustkę do kija i wywiesiłem ją przez ów otwór, powiewając nią na wszystkie strony jako znak, że wewnątrz domku jest żyjąca istota. Ale wszystko było na próżno: czułem jednak że domek posuwa się w pewnym regularnym kierunku. Naraz uderzył on się tak mocno o jakiś twardy przedmiot, że upadłem na ziemię i już myślałem, że się rozbiłem o skałę. Jednak domek trzymał się mocno, a po chwili słyszałem jakiś szmer jakby od naciągania sznurów. Teraz znów ożywiłem się nadzieją, że zostałem odkryty przez ludzi i jeszcze raz wywiesiłem chustkę, wołając o pomoc. — O jakże niewymowną przejęty zostałem radością, gdy w odpowiedzi na mój okrzyk posłyszałem trzykrotny donośny „wiwat“! Jednocześnie posłyszałem gramolenie się po wieku domku, a donośny głos męzki zapytał przez otwór po angielsku: „Czy jest tam kto w budzie? niech się odezwie!“ — „Na miłość boską, ratujcie jak najprędzéj“, odkrzyknąłem na to, „jestem anglik i przez dziwne zrządzenie losów ocknąłem się w tém niebezpieczném położeniu“. — „Bądź człowieku spokojny“, wołał głos z góry, „Twoja buda mocno przymocowana do naszego okrętu, zaraz przyjdzie służący i rozszerzy tak otwór na pokrywie, aby cię można ztamtąd wydobyć“. — „Aj, nie róbcie tyle zachodów, dobrzy ludzie“, odpowiedziałem, „dość będzie, jeźli ktokolwiek zatknie palec w kółko, które tam widzicie na wierzchu budy, aby mnie z łatwością wyciągnąć na pokład okrętu!“

Po tych słowach posłyszałem głośny wybuch śmiechu, a z uwag jakie mię doleciały, dowiedziałem się, że mię mają za waryata.

Tymczasem nadszedł służący i rozszerzył otwór w budzie dostateczny, aby przezeń mógł przeleść człowiek i spuścił mi następnie drabinkę z lineczek, po któréj wylazłem na wierzch i po chwili osłabiony i wycieńczony ocknąłem się na pokładzie kupieckiego statku angielskiego.

Na tysiące pytań, któremi mię zarzucili zdziwieni ludzie nie mogłem naraz odpowiedzieć ze znużenia i osłabienia. Również zdziwiła mię niespodzianka nowa tylu naraz karłów, gdy oko moje od lat paru przyzwyczajone było do innéj wielkości przedmiotów. Kapitan okrętu, Tomasz Wilcock, bardzo ludzki i poczciwy człowiek, spostrzegł od razu, że mi przedewszystkiem potrzeba spokoju i odpoczynku. Zaprowadził mię przeto do swojéj kajuty, pokrzepił szklanką dobrego hiszpańskiego wina i nalegał na mnie, abym się położył na jego łóżku i zasnął parę godzin. Usłuchałem téj życzliwéj rady, nim jednak położyłem się, prosiłem go, aby kazał majtkowi przynieść do kajuty mój domek, w którym się znajduje wiele mebli i różnych cennych rzeczy. Przyzwyczajony do rozmiarów wielkich brobdingnagskiego życia wypowiedziałem tę prośbę w sposób jak mi się podówczas zdawało całkiem naturalny. Kapitan jednak posłyszawszy życzenie, aby jeden majtek mógł przynieść i zmieścić w kajucie dom dwunastu stóp kwadratowych objętości i dziesięciu stóp wysokości, popatrzył na mnie ze zdziwieniem, potrząsnoł głową i wziął mię bez wątpienia za waryata. Uspokoił mię wszakże łaskawie i pobłażliwie, ze mogę spokojnie sobie zasnąć, a on nie omieszka mieć staranie o mojéj własności.

Niebawem też wydał kapitan rozkaz, aby wszystkie moje krzesła, pościel i inne rzeczy przeniesiono z budy na okręt, niektóre belki i wytworniejsze części domku rozerwać i znieść na pokład, a resztę jako rzecz niepotrzebną wrzucić do morza. Tymczasem zasnąłem snem pokrzepiającym, śniąc o kraju olbrzymów i mojéj kochanéj Glumdalklicz. A gdy się obudziłem i wchodzący właśnie kapitan zapytał o stan mego zdrowia, mogłem go z przyjemnością zapewnić, że czuję się zupełnie zdrowym i na siłach. Poczem pan Wilcock kazał przynieść kolacyę i prosił mię, abym był jego gościem. Z początku patrzył on na mnie trochę niedowierzająco, słysząc poprzednią mowę i mając mię za obłąkanego, ale gdy się przekonał, że mówię rozsądnie i do rzeczy, jak zwykły człowiek, prosił, abym mu opowiedział o moich podróżach i wyjaśnił w jaki sposób dostałem się do tego niezwykłego domku, który pływał po morzu. Ja zaś wpierw zapytałem go, w jaki sposób mię odkrył i uratował. „W sposób bardzo prosty“, odrzekł on, „za-

trzymałem się na morzu w samo południe i przez dalekowidz spostrzegłem jakiś przedmiot, który wydał mi się żaglem, gdy jednak bardziéj zbliżyłem się, spostrzegłem błąd swój i spuściwszy na morze łódkę, posłałem w niéj kilku z moich ludzi, aby lepiéj zbadali ten przedmiot. Ci rychło powrócili z oznakami zdziwienia i przestrachu, powiadając że to jest dom pływający. Myślałem, że za wiele rumu wypili i stracili przez to rozsądek, udałem się więc sam łódką na miejsce oznaczone i kazałem przywlec ów dom, poczem obejrzawszy go starannie, przyciągnąć do okrętu. Przesunąwszy przez kółko linę, usiłowaliśmy wyciągnąć pańską budę na pokład, ale wszelkie usiłowania były nadaremne, cała załoga okrętowa podołać temu nie mogła; wówczas ujrzeliśmy pańskie hasło w postaci chustki i wywnioskowaliśmy, iż w wnętrzu musi się znajdować żyjąca istota".

Słuchając tych wyjaśnień kapitana, zapytałem, czy we chwili ujrzenia na morzu domku nie widział on, albo jego ludzie, wielkiego ptaka, szybującego w powietrzu?

„O, tak" — odpowiedział — „jeden z moich ludzi opowiadał mi, że w owéj chwili widział trzy orły, lecące na północ; o wielkości ich jednak nic nie wspominał."

Mogłem to złudzenie wzroku łatwo wytłumaczyć zbytniem oddaleniem ptaków i zapytałem: jak daleko mogliśmy być oddaleni od stałego lądu? „Podług najdokładniejszych obliczeń — zaledwo pięćdziesiąt godzin" — była odpowiedź. Zapewniałem go, że musiał omylić się przynajmniéj o połowę, gdyż kraj z którego przybywam, opuściłem najwyżéj na dwie godziny przed wpadnięciem do morza. To twierdzenie nasunęło znów kapitanowi myśl o niezwykłym stanie mego umysłu i rzekł przeto: „Zdaje się, zacny przyjacielu, że wskutek nieszczęść i różnych wypadków nie przyszedłeś pan jeszcze do siebie, dlatego dobrze będzie, jeźli się znów położysz w łóżko i odpoczniesz trochę".

„O, nie, czcigodny panie", odparłem pośpiesznie; "jestem tak zdrów i wesół jak ryba, cieszę się zupełną przytomnością umysłu i gdy jeszcze z parę chwil z sobą pomówimy, wszystko się wyjaśni".

Pan Wilcock potrząsnął na to kilkakrotnie głową, a bacznie spojrzawszy mi w oczy, rzekł surowo: „musiałeś pan zapewne wy-

dostać się z kraju, gdzie zwyczajem jest wyrzucać złoczyńców w morze, i gubić ich śmiercią głodową: musiałeś dopuścić się tam zbrodni i dla tego cię zamknięto do owéj budy. Wcale nie jest dla mnie rzeczą miłą, trzymać tak złego człowieka na statku, bo musisz pan wiedzieć, jak my marynarze na to się zapatrujemy; nie jestem przesądnym, ale gdyby moi ludzie dowiedzieli się, że zbrodniarzowi dałem schronienie, zbrodniarzowi, który może nieszczęście i przekleństwo sprowadzić na okręt, to nieobroniłbym pana przed nimi — wyrzuciliby oni cię ponownie w morze. Dlatego uderz się w piersi i wyznaj mi wszystko otwarcie, a daję ci słowo honoru, że zachowawszy milczenie o całém tém zajściu, wysadzę cię swobodnie na pierwszy lepszy brzeg lądu“.

W poczuciu niewinności schwyciłem się obu rękoma za głowę na takie posądzenie i prosiłem kapitana, aby mię cierpliwie jeszcze chwilkę wysłuchał, a wówczas wyjdzie z błędu i przekona się, że jestem człowiek uczciwy, prawdę miłujący i przy zupełnym rozsądku. Gdy się zgodził na to, opowiedziałem mu całą historyę, począwszy od chwili, w któréj po raz ostatni opuściłem Anglię, aż do wypadku z olbrzymim orłem, a prawdziwość opowiadania poparłem w ten sposób, że ze złożonych w kajucie rzeczy moich powydobywałem różne brobdingnagskie produkta i okazałem je zdziwionemu kapitanowi. Pokazałem więc złoty pierścień z małego palca królowéj, podarowany mi i zarzucony mi przez nią na głowę. „Weź pan to — panie kapitanie“ — rzekłem — „jako dowód mojéj wdzięczności za uratowane życie i okazanie gościnności“. Daléj pokazałem szczotkę z ogolonéj brody króla, następnie futerko z myszy i wiele innych osobliwości, na widok których, kapitan pochwycił mię za rękę, przepraszał za posądzenie i zapewnił, że teraz zupełnie wierzy w prawdziwość mojéj opowieści. Pierścień zwrócił mi jako zbyt kosztowny dla niego upominek, a ponieważ nalegałem nań bardzo, aby cośkolwiek wybrał z moich rzeczy, wziął więc ząb, który niezręczny dentysta wyrwał był zamiast zepsutego pewnemu służącemu, a który został się w pokoju Glumdalklicz.

Od téj pory powziął kapitan wielki szacunek dla mnie, jako dla człowieka, który wiele widział, przeżył i doświadczył i namawiał mię, abym za powrotem do Anglii opisał to wszystko i drukiem podał do

wiadomości publicznéj. Jak łaskawy czytelnik widzi — usłuchałem rady poczciwego człowieka, prosić jednak muszę o względność i pobłażliwość, jeźli opis méj podróży nie przedstawi tyle dziwnych i cudownych rzeczy, ile podają inne opisy, corocznie zalegające pułki księgarskie.

Pewnego dnia zapytał mię kapitan — dlaczego tak głośno zawsze podczas rozmowy krzyczę? Odpowiedziałem, że się przyzwyczaiłem tak w Brobdingnagu, gdzie musiałem krzyczeć, aby głos mój doleciał do uszu takich olbrzymów, co się dzieje tak samo, gdy ktoś u nas stojący na dole chce przemówić do stojącego na wieży. Jak z mową, tak téż w ogóle na każdym kroku długo jeszcze zachowywałem się tak jak gdybym był jeszcze w krainie brobdingnagskiéj. Przez długi czas nie mogłem sobie przywrócić jasnego pojęcia o swojéj wielkości i stosunku moim do otaczających przedmiotów, jak wielka część ludzi nie może się odzwyczaić od swoich wad. Gdzie tylko się obróciłem, wszystko mi się wydawało za małe i nadymałem się do wielkości brobdingnagskich olbrzymów.

Po kilku dniach podróży od czasu wejścia mego na pokład kapitana Wilcocka, okręt nasz po drodze do Anglii zawinął do przylądka Dobréj Nadziei, a w dziewięć miesięcy, licząc od początku méj podróży, przybiliśmy w lipcu 1706 do brzegów Europy. Prosiłem kapitana po przybyciu do Anglii, aby raczył przyjąć część mego mienia jako wynagrodzenie za przewóz okrętem, odrzucił jednak tę zapłatę i uścisnąwszy mi na pożegnanie rękę, przyrzekł że mię odwiedzi w Redryfie

Gdy kupiwszy konia, zdążałem ku domowi, wydawały mi się drzewa, domy, ludzie i zwierzęta tak małemi, jak gdybym się ocknął w krainie Liliputów. Co chwila obawiałem się, że roztratuję po drodze podróżnych i już zdala krzyczałem aby ustępowali mi z drogi. Dom swój odszukałem dopiero po długich usiłowaniach i rozpytywaniach się mozolnych u ludzi, którzy głośno śmiali się z mojéj mowy i manier. Gdy mi służący otworzył drzwi do pomieszkania, pochyliłem się przy wejściu jak gęś wchodząca do małego kurnika, bo obawiałem się że jest za nizkie dla mnie. Żona wyleciała ku mnie z głośnemi okrzykami radości, chciała mi się rzucić w objęcie i całować mię, a ja uznałem za rzecz konieczną przyklęknąć, w mniemaniu,

że inaczéj nie dosięgnie ust moich. Córeczka uklękła przedemną, pragnąc błogosławieństwa, lecz jéj w pierwszéj chwili wcale nie dojrzałem, będąc przez tak długi czas przyzwyczajony do trzymania głowy na wznak i do skierowywania wzroku w górę ku osobom sześćdziesięciu stóp wysokim. Gdy ją wreszcie dostrzegłem, objąłem jedną ręką, podniosłem do góry i usiłowałem postawić ją na swéj dłoni. Żona i dziecię klasnęły z rozpaczy w ręce, myśląc że zwaryowałem; a ja tymczasem czyniłem jéj wyrzuty, że musiała być skąpą podczas méj nieobecności i niedawała sobie i dziecku potrzebnego pokarmu, skoro oboje tak pokurczyli się i wyglądali jak karły. Również obecnych podówczas krewnych i przyjaciół traktowałem tak, jak gdybym ja był olbrzymem, a oni karłami, co naprowadziło ich na myśl — jak przedtem kapitana Wilcocka, że przez różne przejścia i nieszczęścia straciłem rozsądek.

Dopiero z czasem i powoli przyzwyczaiłem się do rodzinnych stosunków i do naszego zwykłego stanu rzeczy, i gdy niekiedy popatrzyłem na świat oczami brobdingnagskiemi i słuchałem takiemiż uszami, to mi wnet uśmiechem przypominano, że jestem w naszéj ukochanéj staréj Anglii pomiędzy krewnymi i przyjaciółmi. Żona moja wysłuchawszy wśród oznak podziwu i postrachu wszystkie moje przygody, dziękowała Bogu, że powróciłem do niéj szczęśliwie i zaklęła mię na wszystko, co mam najdroższego w życiu, abym nigdy już nie puszczał się na morze.